



<http://rcin.org.pl>

**egz. archiwalny III**

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

639



LIRA POLSKA

Nakładem wydawnictwa  
Antoniego Lesmana.

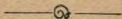
1885.

Cena 30 kop.

<http://ccm.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

LIRA POLSKA.



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>



LIRA POLSKA.

VII.

DEKLAMATOR.

WARSZAWA.  
Antoni Lesman.



Дозволено цензурою.  
Варшава, 12. Декабря 1884.

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

**Biblioteka**

ul. Nowy Świat, Nr 72

00-250 Warszawa

**Tel. 26-68-63, 29-92-31 w. 42**

<http://rcin.org.pl>  
Z Drukarni Ludowej we Lwowie.

DZIWOŻONA.  
(podanie karpackie).

... Raz w noc czarów,  
Noc miesięczną, w głębi jarów  
Kolysała się uśpiona  
Nad przepaścią, wśród konarów  
Starój olchy : Dziwożona.

A na śpiącą tak przez liście  
Księżyc patrzył się srebrzyście,  
I jój wianek konwaliowy  
W strudze blasków promieniście  
Lśnił, jak gdyby był perłowy.

Wtóm zamącił ciszę śpięwną  
Ktoś w parowie skargą rzewną

I zbudzona w pół przytomnie,  
Rozgarnawszy mgłę powietrzną,  
Zaśpiewała: Chodź tu do mnie,

Chodź co żywo, chłopcze smętny,  
Tu w mój uścisk przenamiętny,  
Spełnić szczęścia mary złote;  
Mój pieścizoty czar ponętny  
Stłumi łzawą twą tęsknotę.

I ta pieśń jej dźwięków deszczem  
Spadła, echem drwiąc złowieszczém,  
W parów głuchy, gdzie zbłąkany  
Młody góral z dziwnym dreszczem  
Stał, w nią cały zasluchany.

Stał, a ona jak mgła wiosny,  
Zbiegłszy lekko, w swój miłosny  
Uścisk tak go lubo zwała,  
Że od prośby jej żalostnej  
Aż posepnie olcha drżała.

Więc on żwawo, jak w oblędzie,  
Na przepaści wbiegł krawędzie,

I chcąc schwycić wyciągnione  
Drobne rączki jój labędzie,  
Wpadł w ciemności niezglębione.

A zdrajczyni, jak mgła wiosny,  
Lekko wiodąc ton radosny,  
W dal promienną uleciała;  
I w konarach się znów sosny  
Z pustym śmiechem kołysała.

*Miron.*

### LAOKOON.

Groźny bóg morza na złotym sznurze  
Spienione rumaki powściąga;  
W rydwanie srebrzystym wzniósł trój-  
[zęb ku górze,  
U nóg mu się morze rozciąga;  
Ujarzmił morze:  
Za cugle trzyma  
Grzywę olbrzyma  
I bałwany nie pienia się już;  
Tylko mu nogi liżą,  
Gdy się pod posąg zbliża

Królowie mórz.

On rozhukane wały oceanu

Do swojej woli wziął:

On bóg, wedle swego planu

Kark olbrzyma do nóg swoich zgiął.

I zapanował...

Wygładził wód oblicze,

Głębiny tajemnicze

W spokojność słońca okował.

Za to mu Ceres złoty kłos przenicy,

Bogini żniwa z marmurowych rąk

Podaje wdzięczna; za to mu fletnicy,

Fauny gajów śpiewają wśród łąk.

Bo kłos dojrzewa,

Choć bliskie morze,

Kiedy ocean w pokorze

Złotych łąków nie zalewa.

Zgoda w stworzeniu

Krwawy bicz wojny,

Jędza szalona

W cichém uśpieniu,

I Mars, bóg wojen, spokojny

Nie ima ciężkiej tarczy na cię-

[żkie ramiona.

Wolę dzikiego żywiołu powściągnął,  
Dla cichéj słonecznéj jasności  
Neptun trójzęby dla świata wolności  
Rozhukane morze w jarzmo wprzęgnął.

I tak nad niém panuje  
Jak słońce nad ziemią,  
Jak słońce kiedy spojrzy, chmura  
[ustępuje;

Tak on, gdy skinie trójzębem,  
Spienione wnet wały zadrzemią.

Jowiszu! jeżeli ty w imię piękności  
Tych muz, co ci sen niosą przyjemny,  
W imię blasku tych oczu miłości,  
Tych serc pod alabastru łonem  
Bijących tętnem przyśpieszoném,  
Za najśłodszym uściskiem miłości  
Rządzisz, Jowiszu! twój nadziemny  
Ster — jest sterem miłości.

A nad ziemią dzieci twojéj  
[chwały

Światem rządzą.

Ty je sądzisz, kiedy błędzą;  
Z twego serca, z twojéj głowy

[one wstały;

Tyś ster świata do ich ręku zdał,  
I wtedy tylko za piorunów strzał  
Chwytasz, gdy one zgodzić się nie mogą.  
Kiedy Neptun przeważać zaczyna,  
Ginie Pallas'; wtedy walkę srogą  
Toczą ludy, a jednych ruina  
Panowaniu drugiej świętości  
Daje miejsce, i tak schodzą dni wielkości.

U stóp Neptuna nimfy, trytony,  
Ze srebra wyryte delfiny,  
Siwe morza sieką wód głębiny  
Łuskawymi ze srebra ogony.

A bóg na rydwanie

Z trójzębem stoi,

A przed ołtarzem stoją Trojanie

W koturnach, z tarczami, we zbroi.

Świeci pod słońcem ocean wód,  
Świeci bóg miedzianym kolorem ;  
Zdała widać Pryama gród,  
A przed bramy widać, jak po-  
[tworem,

Koniem drewnianym lud zajęty

Na Achiwów nie zważa okręty.

Kto jest ten z ofiarnym nożem,



Co chwyta wołu za wieńczony kark  
I obala go siłą żylastych bark.  
Przed miedzianém bóstwa podnóżem,  
Arcykaplan Neptuna kto on?  
Syn Pryama króla, Laokoon.

Nagie ciało pas ozdabia złoty,  
U rąk jego wiszą złote koła,  
Jego włosów najeżone sploty  
Zdobi wieniec oliwny u czoła.

Krwiał dymiącym wstrząsa nożem  
A kadzidla z kwiatów w ognia kłęby  
Zamienione pędzą, aż trójjęby  
Władca twarz bronzową w uśmiech  
[ściąga ;

Rozjaśniona twarz posąga.  
Zda się, pragnie mówić z ludu morzem.

Laokoon wznosi puchar krwi,  
Puchar wina wylewa na stos,  
I obraca do posągu głos,  
A głos jako piorun grzmi.

A słońce iskrami wygląda tarczami,  
A mieczów polyski migają się wciąż,  
Obrońce Ilionu, słuchajcie, przed wami  
Z bogiem rozmawia mąż.

Jest li to prawda, co wyrzekł on,  
Że Grecy nie uszli do brzegów,  
Że na Trojan użyli wybiegów,  
By ich w martwy tém zagrzebać

[zgon,

By nie mieli gdzie położyć kości,  
By nie uczczono ich zwłoków

[pogrzebem,

Męstwem się własném świad-

[czyły i niebem,

Że swój broniły wolności?

Prawdaż to, Neptunie potężny,

Także zginać ma Trojanin mężny?

Że te siwe głowy starców białych  
Niepomszczone deptać będzie wróg,  
I do wozów tryumfalnych wprzęże,  
Ojców, z których wyszły Troi męże,  
Dumny, do swych zniżać będzie nóg.

I oparty na przedzie rydwanu,  
Który starcy wieść będą Trojanie,  
Stojącemu na złotym rydwanie  
Bramy miasta otworzą jak panu,  
A on czołem w hełm przyobleczoném,  
W które piorun niech Zeusa spada,

Spojrzy po tym ludu ukorzonym,  
Dumny, że to Trojanów zagłada.  
A Trojanie starzy ciągnąć będą  
W pałac królów jego sławy wóz,  
A on będzie bił ich stare kości.  
Na włos srebrny nie najdzie się wzgląd.  
Och! Trojanie, jeżeli przez wasz błąd  
Grecy bramy miasta nam posiędą;  
Z bram i zamków będzie tylko gruz,  
Z naszych wieńców tylko proch poziomy.  
Ogień spadnie na te nasze domy,  
Kędy bogi świadczyły wielkości.  
Dymią kadzidła — a twarz Neptuna  
Rozjaśniona ognia połyskami,  
To zabłyśnie w nagły błysk pioruna,  
To szarymi skryje się chmurami.  
Żywy ogień rozrzuca oczami,  
Pierś bronzowa zda się ogniem tchnie;  
Złote włosy zda się pierścieniami  
Z nieśmiertelnój głowy wznoszą się.  
Ocean huczy, ogień płonie,  
Gromy w chmurach na zachodzie grzmią.  
A Trojanie chwytają za bronie,

Jeżeli niebo gniewne, z niebem walczyć  
[chęcią.

Te twarze marsowe,  
Ta krew, co w nich drży,  
Lwie skóry i helmy, co kryją im głowę,  
Zmieniają ich w pustynię Numidyjskich  
[lwy.

Stójcie! jeżeli nieba zapytacie  
Wy, mężowie, co was czeka potem;  
Wasze słowa na fletach wygracie,  
Ale Bóg wam odpowiada grzmotem.

Kiedy kapłan przed posągiem  
[stawa,  
Wolę boga on objawi wam,  
Bo wieszczowie u Olimpu bram.  
Bóg odpowiedź w natchnieniu  
[oddawa,  
Bóg przemówi, potrząsa trój-  
[zębem.

Na rycerzy słońce rzuca krwią,  
Rozjaśnione twarze ognia kłębem,  
Duchem wszyscy u posągu tkwią.  
Laokoon i dzieci kapłana  
Przed ołtarzem próżno korzą się,

Ogień zagasł, próżno krew rozlana  
Na stopach kamiennych schnie.  
Bogini Minerwa nieprzyjazna

[nam ;

Daremnie Neptun moc swą

[wyteża ;

Zsyła do Troi bram

Nie siłę greckiego męża,

Nie nawy zbroją najeżone,

Nie hufce miedzią uzbrojone,

Nie Achillesa piorunową strzałę :

Strzałę tarcz odbije,

Nawy ogień spali,

Zagniewana bogini zbroi nie użyje,

Żądłem węża nas obali.

Od brzegów Tenedu po morskich wód

[głębi

Zmącone się morze kręgami wciąż kłębi,

Dwa węże lby niosąc ogniste,

Sieką morze ogonem,

A pyskiem zakrwawionym

Jady wyziewają nieczyste.

I łuską zieloną, skrzela zakrwawioną,

Krwistymi oczami palają.

Coraz bliżej brzegu  
Gad wściekły dobiega,  
Już na ołtarz Neptuna wpadają.  
Z otwartych paszcz giętkie błyskają  
[języki,  
Sycząc czarny wydają jad ;  
Już jeden z synów Laokoona padł,  
Bolesne wydając okrzyki ;  
Drugiego wąż goni po schodach posągą,  
Laokoon porywa za włócznie !  
A choć lud Trojański, złe biorąc wy-  
[rocznie,  
Ucicha, on bóstwu urąga.  
Tu dzieci jego, krew jego ciała,  
Powleka bladość marmurem biała,  
Z krzykiem uchodzą w świat cieni ;  
Rzuca, lecz wąż pocisk omija,  
Z brzękiem o wóz się boga odbija,  
Aż ogień prysnął z kamieni.  
A gad się wściekły pelza, układa ;  
Zanim łeb wzniesie, zanim cios zada,  
Żywym zatacza się kłębem ;  
Wreszcie podnosi jadem ziejący  
Pysk jak iskrami, oczami lśniący

I wściekłym zabłyska zębem :  
Oczy kapłana z żalu zdziczały,  
Włosy jak węże na głowie wstały.  
Gdyby zielony gad w owój chwili  
I arcykapłan w bronz się zmienili,  
Jako stanęli do siebie,  
Świat miałby posąg w świątyni męstwa  
Boga piorunów, kiedy zwycięstwa  
Wstaje doświadczać na niebie ;  
Lecz nie skamieniał — i patrzcie, biada,  
Drży i upada.  
Co było mężów Troi,  
Uciekło,  
Tylko posąg Neptuna stoi,  
Tylko chmury wiszą nad morzem ;  
Dwóch trupów pod boga podnóżem,  
I Laokoon czuje męczarni piekło.  
„Jowiszu! moje piersi skrępowane  
Łuska gadu oplata :  
Trojanie, moje żebra połamane,  
Duch mój, czuję, z méj piersi ulata :  
Neptunie! któż ofiary będzie  
Skladał u twoich nóg?  
Tyś się zachwiał w swym ogromie,

Neptunie! broń się, inny cię zwycięża  
[bóg,

Co jak moje kości złomie

Moc twoję nad spienioném morzem.

Piersi! — Piersi! — Ach!

Daremnie silę się rozerwać ich moc;

Już mnie ogarnia umarłych noc.

Charonie, za Styx, w drogę, stary,

Słońce, kilka promieni!

Powietrza do piersi ściśniętój!

Neptunie! jakież to tłum cieni,

Jakież w oczy moje biegną mary?

Czy z Erebu powstały pieczary?

Przepaska na piersiach mi pęka.

Neptunie! jakież to widziadła:

Miasto na siedmiu wzgórzach zbudowane,

Tron, na którym potęga usiadła,

A Ateny w gruzach pochowane.

Czy to przyszłość Troi! Och! czarowna!

Jeszcze jeden promień słońca!

Jakimś wirem obraca się świat.

Gwiazdy wkoło mnie biegają, słońca,

[słońca!

Gdyby jeden promień w oko wpadł!



Za Styx! Trojo, żegnaj mi;  
Neptunie, czujesz! jak cały świat drży?  
Za chwałę przyszłej Troi! Węże, pijcie  
[krwi.

Grecy, ta krew zabije was“...

Po tych słowach Laokoon blednieje,  
Członki drżą konwulsyjnym drżeniem,  
Już spokojny, już wzrok jego zgasł.

A Iris siedmiofarbna promieńmi nań  
[sieje,

Kwiecistém go kryje odzieniem,

A morskie delfiny

Parskają kroplami,

A krople gwiazdami

Padają z głębiny

Na czoło kapłana marmurowe.

Życie ubiegło z ciała

I tylko pozostała

Szata i wieniec, którym okrywał głowę;

Taki był koniec Trojańskiego wieszca.

Znamion kapłańskich jego święte znaki

I myśl została, co przyszłość obwieszcza,

Któregoż z wielkich koniec nie był taki?

*Lenartowicz.*

D Z I A D Y

(WYJĄTEK).

Prolog.

Anioł stróż.

Niedobre, nieczule dziecię!  
Ziemskie matki twój zasługi,  
Prośby jój na tamtym świecie  
Strzegły długo wiek twój młody  
Od pokusy i przygody:  
Jako róża, anioł sadów,  
We dnie kwitnie, w noc jój wonie  
Bronią senne dziecka skronie  
Od zarazy i owadów:

Nieraz ja na prośby matki  
I za pozwoleniem bożem  
Zstępowałem do twój chatki,  
Cichy, w cichój nocy cieniu:  
Zstępowałem na promieniu  
I stawałem nad twém lożem.

Gdy cię noc ukołysała,  
Ja nad marzeniem namiętném  
Stałem, jakby lilia biała

Schylona nad źródłem mętném.  
Nieraz dusza mnie twa zbrzydła,  
Alem w złych myśli nacisku  
Szukał dobrój, jak w mrowisku  
Szukają ziarenek kadzidła.

Ledwie dobra myśl zaświeci,  
Brałem duszę twą za rękę,  
Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci,  
I śpiewałem jój piosenkę,  
Którą rzadko ziemskie dzieci  
Słyszą, rzadko i w uśpieniu,  
A zapomną w odecknieniu.  
Jam ci przyszłe szczęście głosił,  
Na mych rękach w niebo nosił;  
A tyś słyszał niebios dźwięki,  
Jako pianych uczt piosenki.

Ja, syn chwały nieśmiertelnój,  
Przybierałem wtenczas postać  
Obrzydłej larwy piekielnój,  
By cię straszyć, by cię chłostać;  
Tyś przyjmował chłostę Boga,  
Jak dziki męczarnie wroga;

I dusza twa w niepokoju  
Ale z dumą się budziła;  
Jakby w niepamięci zdroju  
Przez noc całą męty piła.  
I pamiątki wyższych światów  
W głąb ciągnęłaś, jak kaskada,  
Gdy w podziemną przepaść wpada,  
Ciągnie liście drzew i kwiatów.

Natenczas gorzko płakałem,  
Oblicze tuląc w me dłonie,  
Chciałem, i długo nie śmiałem  
Ku niebieskiej wracać stronie,  
Bym nie spotkał twojej matki...  
Spyta się, jaka nowina  
Z kuli ziemskiej, z mojej chatki,  
Jaki sen był mego syna?..

*Adam Mickiewicz*

### JULIAN APOSTATA.

Na czele bitnych rzymskich legionów  
Spaliwszy na Tygrze floty,

Gdzie przed wiekami wódz Macedonów  
Rozbijał swoje namioty,

Stanął zazdrosny jego podboju,  
Świeżą okryty purpurą  
Cezar, co wedle sługi pokoju,  
Na słońcu prawdy był chmurą.

Pieszcząc w swém sercu przeszłości  
[marę,  
Chrystusa sieciom niechętny,  
Zamierza wskrzesić imperyum stare,  
I Olimp bogów ponętny.

Jedzie i marzy o swoim wrogu,  
Co berło świata wydziera,  
O tym nieznanym i cichym Bogu,  
Co gdzieś na krzyżu umiera.

„Duszę mam“ mówi „blasków słonecznych  
„Pełną, i nimi obrzucę  
„Ludzkość spragnioną jutrzeńek mle-  
[cznych  
I dawną pogodę wrócić.

„Przezemnie błysnie dawna potęga  
„Obrządku, co światem władnie,  
„A nowa wiara, co Rzym rozprzęga,  
„Pod moję stopę upadnie.

„Nie w ciemném, na pół dzikiém marzeniu  
„Leży zbawienie dla świata,  
„Lecz w tym Heliosa jasnym promieniu  
„Dojrzewa przyszłość bogata.

„Mądrość, na którą wieki się całe  
„Składały w ciężkiej kolei:  
„Mamyż wymienić za to niestałe  
„Zaziemskich widmo nadziei?

„I barbarzyńską targnąć się ręką  
„Na święte przodków spuścizny?  
„Za galilejską biegnąc jutrzeńką,  
„Odstąpić wrogom ojczyzny?

„O nie! mój mistrzu, co wzrok odrywasz  
„Od ziemi, gdzie życia cele,  
„I myślą w senném niebie spoczywasz,  
„Ziemią się z tobą nie dziele;

„Lecz ja sam ujmę w żelazne dłonie,  
Promienną przeszłość odtworzę,  
„A nad zwycięskim wszędzie zagonie  
„Słońce, co zgasnąć nie może“.

Tak dumał Julian, patrząc się w gwiazdy,  
I szukał swojej w niebiosach,  
Aż wtém z pod ziemi perskie podjazdy  
Przyszły rozstrzygać o losach.

Wzięły zwycięstwo bitne legiony,  
Pierzchają hordy przed nimi,  
Ale wódz strzałą perską raniony  
Chyli się z konia ku ziemi.

I laur ostatni rwąc na téj niwie,  
Obficie krwią swą go zmywa;  
Spojrzał się w górę dumnie, wzgardliwie  
I sny stracone przyzywa.

Potém zgarniając w dłonie już drżące  
Strumień krwawego koralu,  
Cisnął nim w niebo jasne, milczące,  
Z wymówką skargi i żalu.

I zionąc duszą w namiętym krzyku,  
Słabnący rzekł Apostata :

„Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku!

„Lecz jutro!.. gdzie jutro świata?

„Cóż? że my padniemy przy tych bo-  
[żyszczech

„Tętnących wdziękami młodości,

„Cóż? że na naszej potęgi zgliszczach

„Ponury krzyż się rozgości?

„Że ten świat grecki w mgły się rozwieje

„Z harmonią tęczowych mytów,

„Że w miejscu niego niebo zadnieje

„Męczeńskich pełne zachwytów?

„Czy krzyż otworzy swoje ramiona

„Tulaczéj narodów rzeszy?

„Czy w cieniu jego spocznie strudzona

„Ludzkość, co nie wie, gdzie śpieszy?

„Czy tak, jak teraz kona świat stary

„Pod znakiem boskiego zbawcy,

„Nie będą padać ludów ofiary

„Wleczone pod miecz oprawcy?



„Czy w imię tego czarnego krzyża  
„Świat się nie splami krwi strugą,  
„I wiara, co dziś niebo przybliża,  
„Ciemności nie będzie sługą ?

„O przyjdzie chwila, w której o Tobie  
„Gromady zwątpią cierpiące,  
„Gdy ujrzą na swych nadziei grobie,  
„Jak ja dziś, niebo milczące.

„I wołać będą w dzikim okrzyku,  
„Padając pod topór kata,  
„Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku !  
„Lecz jutro ! gdzie jutro świata ?

*Asnyk.*

### FARYS - WIESZCZ.

O i ja kiedyś byłem farysem !  
Lecz czy wy wiecie, co farys znaczy ?  
Ha ! niech step mówi swoim opisem !  
Olbrzyma — olbrzym niech niech wy-

[tłómaczy ;

On tylko jeden prawdę nam powie  
Jemu więc wierzcie jak Koranowi.

„Farys“ step mówi, to dziecię moje!  
To duch tęsknotą nieba trawiony!  
Zesłany tutaj na ciągle boje,  
Na ciągłych pragnień żar niezgaszony!  
A tak mu trzeba nieba i słońca,  
Że tylko za nim pędzi bez końca.

I nic go w pędzie wstrzymać nie zdoła,  
Ani uroczej cienie oazy,  
Ni beduinka głosem anioła  
I blaskiem oczu, miłszym sto razy.  
Próżne pokusy! bo tacy gońce  
Kochają tylko niebo i słońce.

Więc jam był gońcem, i gońców bardem;  
Cudneż-to było to nasze grono,  
Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą,  
I z tém ramieniem młodzieńczém, hardém,  
Co krawędź nieba z krawędzią świata  
Sili się spoić, wierząc, że zbrata!

Patrzcie! tam wkoło piaszczyste wzgórza  
Niby umyślnie słane mogiły,  
Czasem się z głębi szkielet wynurza;  
Spytaj tych kości, czém one były?  
Ha! te mogiły Arabistanu,  
To tylko ślady stóp uraganu.

On to farysów pochłonał w siebie,  
Pochłonał żywcem braci kochanych;  
Jam tylko jeden został na grobie,  
Na grobie gońców już zapomnianych!  
Czy to jest łaska czy kara nieba,  
Allach żyć kazał, więc żyć potrzeba.

Jak młode orlę z złamaném skrzydłem,  
Co się już nigdy w niebo nie wzniesie,  
Żyć życiem gadu, gnuśném, przebrzydłym,  
W tych smutnych murów ciasnym za-  
[kresie,

Ha! próżne żale, śpiewaj, pajaco!  
Tylko zabawnie, bo nie zapłacą.

O wieczna hańbo, wieczna sromoto!  
Ja farys, piewca z nieba natchniony,

Pieśń mą na ziemskie przestrajać tony,  
Pieśń mą sprzedawać muszę za złoto,  
By czém okupić cień cudzej strzechy  
Lub zgłuszyć z nędzy szydzące śmiechy!

Oni nie wiedzą, że wieszczą pienie  
Jest jako słońce na niebios sklepie,  
Co na wszechwładne boga skinienie,  
Świeci wędrowcom błędzącym w stepie  
A przecież słońcu nie płacisz za to,  
Że cię zbawienną poi oświata!

Oni nie wiedzą, że piewcy śpiewy,  
Jak ów dziewiczej ogień miłości,  
Co za niebiańskie swoje wylewy  
Nic, nic nie pragnie, prócz wzajemności  
Sprzedawać miłość, hańba kobiecie!  
Sprzedawać śpiewy! hańba poecie!

Przecież tą hańbą wlokę dziś życie,  
Allachu! jakże dręczysz mię srogo!  
I jeszcze nieraz ktoś niby skrycie,  
Niby pocichu powie „za drogo“.

Za drogo, mówisz? Powiedzże, bracie,  
W jakiéjż wy cenie życie sprzedacie?

Bo, słuchaj, pieśń ma, to częśćka życia,  
Tam jest krew moja, tam są łzy moje  
I mego serca pośpieszne bicia,  
I uczuć moich i myśli roje!  
A każdą żeby dostać, wyjawić,  
Muszę wprzód serce mocno rozkrwawić.

Więc cóż? za drogo?.. O! bądźcie  
[szczyrsi!

Gdyby wam przyszło życiem frymarczyć,  
Jak ja pelikan, rozrywać piersi,  
By krwi za cenę złota dostarczyć;  
W jakiéjżeby cenie była kropelka  
Łzy, lub krwi waszój, choćby niewielka?

Męczarnia wieszca w chwili tworzenia,  
To boleść matki w chwili porodu;  
Ile wlał życia do swego płodu,  
Tyle wziął życia z swego istnienia.  
Ile on pieśni dla was utworzył,  
O tyle kroków grób swój przysporzył,

Czasem w dodatku słyszę oklaski;  
Szczerze czy zwodne, wszystko mi jedno.  
Znam tych błyskawic przelotne blaski!  
Znam ich przelotność i trwałość biędną!  
Wasze pochwały — toć to szyderstwo,  
Wasze pochwały — toć to bluźnierstwo!

Gdy syn rozpaczłą pięścią kofacze  
W grób, co mu drogą matkę ukrywa,  
Czem nie mówicie, że ślicznie płacze?  
Czem nie mówicie, że pięknie śpiewa?  
Jak ta łza syna na matki grobie,  
Też samę szczerłość śpiew mój ma w sobie.

A więc schowajcie marne pochwały!  
Gdy pieśń ma święta, jako łzy syna.  
Nie takie wieńce wieszczom przystały!  
Wieszcz takie wieńce depce, przeklina;  
Duch jego wielki i wiecznie młody,  
Innój, o innój żąda nagrody!

Nagroda piewcy, to cisza owa,  
Niema, urocza, z której odgadnie,  
Że w duszach wielki zamiar się knowa,

Co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie.  
Cisza, co mówi, że ziarno wschodzi,  
I myśl-kwiat wkrótce owoc-czyn zrodzi.

Nagroda piewcy, to te spojrzenia,  
Co świecą całym duszy wulkanem,  
Krótkie, milczące dłoni ściśnienia  
Z westchnieniem długo w piersi stłu-  
[mianém,  
I owa chmura cieniąca czoła,  
Z której połyska miecz archaniola.

To mi nagroda! jam ją odbierał!  
Wkoło mnie stali bracia farysy,  
Každy pieśń moję sercem pożerał,  
Pieśń ma wnikała w ich twarzy rysy,  
W krew tych serc wielkich, w ich  
[myśli gniazdo,  
Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą.

Farysy znikli! glucho na stepach —  
A w stepie życia, ach smutniój jeszcze!  
Czasami tylko wiatr zaszeleszcze,  
Dmąc po wywianych czaszek czeropach.

On wszystko wywiał! wszystko prze-  
[wiało!  
Co było cnotą, prawdziwą chwałą!

O! i mnie pora spocząć w mogile,  
Zasnąć snem braci błogosławionych;  
Aż kiedyś, kiedyś, za męczarni tyle,  
Gdy głos Allacha, budząc uśpionych,  
Na swoje rajskie zwoła ogrody,  
I ja niebiańskiej doznam nagrody.

W tym boskim raj, w tém siódmém  
[niebie,  
W waszój ojczyźnie, o prawowierni!  
Allah mnie wielki wezwie do siebie,  
Zdejmie mi z głowy ten wieniec z cierni,  
I żmiję, tyłą krwi przesiąkniętą,  
Wyrwie mi z serca pamięć przekłątą.

I najcudniejsze wezwie dziewice,  
I rzecze: służcie jak padyszachu!  
Ja i nie spojrzę nawet w ich lice,  
Ale z pokorą powiem: „Allachu!



Jam tylko prawdy szukał na świecie...  
Czyż taką miłość znajdę w kobiecie?

Nie chcę hurysy, choćby piękniejszej  
Od téj, com niegdyś kochał na ziemi.  
Lecz ja nie gardzę dary twojemi.  
Ja tylko łaski błagam pełniejszej.  
Za wszystkie, wszystkie twoje hurysy!  
Niech wstaną moi bracia farysy!

I pozwól! pozwól, choćby na chwilę,  
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cy-  
[prysów,  
I w dawnéj naszej młodzieńczej sile  
Pobujać orlim lotem farysów,  
I piersi dawném orzeźwić biciem  
I dawném naszym zabłysnąć życiem!"

Allach wysłucha. Wnet grzmiące głosy  
Wystraszą z głębi śpiących tygrysów,  
I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy!  
Widźcież raz w życiu polot farysów!  
Może wam wówczas, biédne robaki!  
Przyjdzie ochota do jazdy takiéj.

*Karol Baliński.*

IMPROWIZACYA.

Samotność — cóż po ludziach, czym  
[śpiewak dla ludzi!  
Gdzie człowiek, co z méj pieśni całą  
[myśl wysłucha,  
Obejmie okiem wszystkie promienie jój  
[ducha?  
Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język  
[trudzi:  
Język kłamie głosowi, a głos myślom  
[kłamie;  
Myśl z duszy leci bystro, nim się  
[w słowach złamie,  
A słowa myśl pochłona i tak drżą  
[nad myślą,  
Jak ziemia nad połkniętą niewidzialną  
[rzeką;  
Z drżenia ziemi czyż ludzie głab nur-  
[tów docieką?  
Gdzie pędzi, czy się domyślą?  
Uczucie krąży w duszy, rozpala  
[się, żarzy,  
Jak krew po swych głębokich niewi-  
[domych cieśniach;

Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej  
[twarzy,  
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą  
[w mych pieśniach.  
Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za  
[granicą świata!  
I wzrok ziemski do ciebie wysłany za  
[gońca,  
Choć szklane weźmie skrzydła, ciebie  
[nie dolata,  
Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy ;  
Domyśla się, że to słońca,  
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy .  
Wam, pieśni, ludzkie oczy, uszy nie-  
[potrzebne !..  
Płyńcie w duszy méj wnętrzo-  
[ściach,  
Świećcie na jej wysokościach,  
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy  
[nadniebne.  
Ty, Boże ! ty, naturo ! dajcie po-  
[słuchanie !  
Godna to was muzyka i godne  
[śpiewanie.

Ja mistrz !

Ja mistrz wyciągam dłonie !

Wyciągam aż w niebiosy i kładę me dłonie

Na gwiazdach, jak na szklanych har-

[moniki kręgach :

To nagłym, to wolnym ruchem,

Kręcę gwiazdy moim duchem.

Milion tonów płynie ; w tonów

[milionie

Każdy ton ja dobyłem, wiem

[o każdym tonie ;

Zgadzam je, dzielę i łączę,

I w tęcze i w akordy i w strofy

[plączę,

Rozlewam je we dźwiękach i w błę-

[skawic wstęgach.

Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata

[krawędzie,

I kręgi harmoniki wstrzymały się wpędzie,

Sam śpiewam, słyszę me śpiewy :

Długie, przeciągłe, jak wichru

[powiewy,

Przewiewają ludzkiego rodu całe

<http://rcin.org.pl> [tonie,

Jęczą żalem, ryczą burzą,  
I wieki im głucho wtórzają.  
A każdy dźwięk ten razem gra  
[i płonie :

Mam go w uchu, mam go w oku,  
Jak wiatr, gdy fale kołysze,  
Po świstach lot jego słyszę,  
Widzę go w szacie obłoku.  
Boga, natury godne takie pienie!  
Pieśń to wielka, pieśń tworzenie,  
Taka pieśń jest siła, dzielność,  
Taka pieśń jest nieśmiertelność!

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność  
[tworzę;

Cóż Ty większego mogłeś zrobić, Boże?  
Patrz, jak te myśli dobywam sam  
[z siebie,

Wcielam w słowa: one lecą,  
Rozsypują się po niebie,  
Toczą się, grają i świecą.  
Już dalekie: czuję jeszcze,  
Ich wdziękami się lubuję,  
Ich okrągłość dłonią czuję,  
Ich ruch myślą odgaduję.

Kocham was, me dzieci wieszczę!  
Myśli moje! gwiazdy moje!  
Czucia moje! wichry moje!  
W pośrodku was jak ojciec wśród  
[rodziny stoję,  
Wy wszystkie moje!  
Depcę was, wszyscy poeci,  
Wszyscy mędrce i proroki,  
Których wielbił świat szeroki.  
Gdyby chodzili dotąd wśród swych  
[dusznych dzieci,  
Gdyby wszystkie pochwały i wszy-  
[stkie oklaski  
Słyszeli, czuli i za słuszne znali;  
I wszystkie sławy każdodziennój  
[blaski  
Promieniami na wieńcach swoich  
[zapalali;  
Z całą pochwał muzyką i wień-  
[ców ozdobą,  
Zebraną z wieków tyla i z poko-  
[leń tyla,  
Nie czuliby własnego szczęścia,  
[własnej mocy,

Jak ja dziś czuję w téj samotnéj  
[noocy,  
Kiedy sam śpiewam w sobie,  
Śpiewam samemu sobie.

Tak! — czuły jestem, silny jestem i ro-  
[zumny.

Nigdy nie czułem, jak w téj chwili  
Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj  
[się przesili,  
Dziś poznam, czym najwyższy,  
[czyli tylko dumny;

Dziś jest chwila przeznaczenia,  
Dziś najsilnieć wyteżę duszy méj  
[ramiona,

To jest chwila Samsona,  
Kiedy więzień i ślepy dumiał u ko-  
[lumny...

Zrzucę ciało i tylko jak duch  
[wezmę pióra...

Potrzeba mi lotu,  
Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,  
Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórcza  
[i natura.

ZAPAŁ.

Moje marzenia — to szczyty Tatrów,  
A moje myśli — to Wisły fala,  
Kiedy szalona krami przewala,  
A me uczucia — to poświst wiatrów.

Nie pragnę złotych piasku wybrzeży,  
Ni spokojnego zacisza w murach,  
Bo ma istota zrodzona w chmurach,  
A moje czoło w piorunach leży.

Patrzę na ziemię, jak na skład prochu,  
Na który piorun mój chciałbym zwalić,  
Rozżarzyć iskrę, pożar zapalić —

I sztandar szczęścia zatknąć w popłochu,  
Jak szara Wisła, kiedy w wściekłości  
Szydzi z brzegowisk, obala domy,  
Ja bym ciskając gromy na gromy,  
Szydził, zabijał, nie miał litości.

A gdyby w moim niszczącym uścisku,  
Gwiazda radości nie chciała zabłyszeć,  
Wolałbym wszystko pokruszyć i zniszczyć  
A sam ostatni skonać na zwalisku;

Bo me marzenia — to szczyty Tatrów,  
A moje myśli — to Wisły fala,



Kiedy szalona krami przewala,  
A me uczucia — to poświst wiatru.

*Włodzimierz Wolski.*

### MARSZ POGRZEBOWY.

**T**yle dzwonów! Gdzie te dzwony? Czy  
[w méj głowie huczą?

Kędy idą roje księży z taką pieśnią  
[kruczą?

Tu przedemną o dwa kroki czarny wóz  
[się toczy —

Jak mi ciemno! — ten wóz czarny  
[zciemnił moje oczy.

Gdzieś w powietrzu krzyż jaśnieje, mi-  
[gają pochodnie,

A prowadzą mnie pod ręce — idę tak  
[wygodnie :

Same prawie się podnoszą zatrętviałe  
[nogi —

Dobrze, dobrze, że mnie wiedą, nie  
[znam żadnej drogi.

Ide, płynę niby śniący, bez myśli, bez  
[woli,  
Tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie  
[strasznie boli,  
Coś zatapia w nich swe szpony — krzy-  
[we, ostre szpony —  
A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą  
[wrony...

Ha! muzykę jakąś słyszę -- pięknie  
[grają, pięknie...  
Żar mam w oczach a po twarzy coś  
[zimnego cieknie —  
Patrzą na mnie, ale zbliżyć nikt się  
[nie odważa —  
Musí coś być w mojej twarzy, co ludzi  
[przeraża.

A wóz ciągną cztery konie okryte ża-  
[łobą,  
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mnie  
[za sobą...

Wielki Boże! toż ta trumna wysuwa  
[się ku mnie!  
Tam zagadka mego bytu — w téj tru-  
[mnie! w téj trumnie!

Za co Tyś mnie tak ukarał, Ty, co zwiesz  
[się Bogiem!

Za co, za co? — Och!

Samowładca nad słońcami, nad stwo-  
[rzeniem mnogiém,

Mnie zdeptałeś — Proch!?

Gdzie ten Bóg,

Co mnie zmógł?

Czy go jęki dzwonów głuszają i krakanie  
[wron?

Niech pokaże się przedemną z ironii  
[obliczem,

On straszny jak noc —

Bom ja większy w moim bolu, chociaż  
[jestem niczém,

Niżli jego moc!

Ha! zły On!

Ha! zły On!

I tém słowem dzwony biją...

Jezus, Maryjo!

Jakże mnie ten razi dzwon —

Ten dzwon! ten dzwon!

\* \* \*

Na atlasie piękna, cicha,

Ręce trzyma w krzyż,

Przez sen do mnie się uśmiecha —

Och! ty już nie śniesz!

Och! nie czujesz ty już woni

Z wieńca białych róż —

Całowaniem twojej skroni

Nie zbudzę cię już!

Nie wiesz nawet, że za tobą

Idę blady trup,

Że prowadzą cię z żalobą,

Że prowadzą w grób!

Na toż ciebie biédna matka

Wydała na świat,

I jam kochał do ostatka,

Bym cię w trumnę kładł!

Takie moje ślubne łożę?  
I ja w takim dniu  
Żyję jeszcze? Boże! Boże!  
Co ja pocznę tu!

\* \* \*

Była słodka i anielska  
I kochała mnie,  
Jak piosenka jaka sielska  
Płynęły nam dni.

I jam przy niéj był bez grzechu  
I anielskość miał,  
Bo z jéj oczu, z jéj nśmiechu  
Jam sakrament brał.

Była dla mnie jak natchnienie  
Genjusz i cnót,  
Wiodło mnie jéj szat jaśnienie  
Do niebiańskich wrót.

Gdzież zawiodło mnie na końcu,  
Po przebyciu prób?  
W czarną otchłań szedłem w słońcu  
Przez nadzieję — w grób!

Takież moje ślubne łoże?  
I ja w takim dniu  
Żyję jeszcze? — Boże! Boże!  
Co ja pocznę tu!

\* \* \*

Wzięli trumnę na ramiona, ponieśli ją  
[śpiesznie,  
Mnie zatrzymać chcą przemocą, ha, ha!  
[to pociesznie!  
Precz mi z drogi, głupi tłumie, bo bę-  
[dzie nieszczęście —  
Młody jestem, wściekły jestem i mam  
[silne pięście!

Ja mam jeden do niej prawo — precz  
[z drogi, ciekawi!  
Czarne mrowie! tylko równy niech mi  
[opór stawi —  
Mego bolu żadna z waszych piersi nie  
[pomieści...  
I pierzchnęli — a ja idę wielki król  
[boleści!

Pośród gwaru, podziwienia, wśród hałasu  
[dzwonu,  
Oto zbliżam się do trumny — do mo-  
[jego tronu!  
Ty, grabarzu, na tym kopcu wsparty na  
[łopacie,  
By takiego pogrześć króla, ile chcesz,  
[mój bracie?

A zakop mnie, a głęboko — tak mi źle  
[na świecie!  
Ciężej, niżli twoja ziemia, powietrze mnie  
[gniecie...  
Precz z kropidłem! i święcona woda ją  
[poplami —  
Ja tu jeden mam kapłaństwo — pokro-  
[pię ją łzami!

Z pod habitu zakonnego wysuwa się  
[ręka,  
Jakaś jasna, jakaś mocna! duch mój  
[przed nią, kłeka —

Dotknęła mnie! a ja padam podcięty  
[jak kosą...

I wzięli mnie i ponieśli — gdzie oni  
[mnie niosą?

Ach! za kilka kropel szczęścia ludzie  
[światu płacą

Całym morzem łez!

Głupi świecie, marny świecie — stwo-  
[rzonyś ty na co?

W czym twój byt i kres?

Jego ruch,

To mój duch!

Jam jak serce w niém bijące, on próżny  
[jak dzwon,

Czy ja kogo prosił o to? kto tu bez  
[mej woli

Nakazał mi przyjść?

Chociaż bytem mnie okuto, nie jestem  
[w niewoli,

Ja mam władzę wyjść!

Ha, zły On!

Ha, zły On!



I tém słowem dzwony biją...

Jezus Maryjo!

Jakże mnie ten razi dzwon,

Ten dzwon! ten dzwon!

### FINALE.

Czarodziejki jasnowłose,

Ciemnowłose, czarnowłose,

Płyńcie do mnie, płyńcie!

Żem was chwycił w me ramiona,

Żem przytulał was do łona —

Zasłyńcie!

Serce moje krwawe, smętne,

Rozognione a niechętnie,

Niech idzie na rosę!

Jasnowłose, czarnowłose!

Żeście spadły na mą ranę

I chłodziły serce krwawe

Raz kochane, zapomniane,

Dam wam sławę!

Jam mistrz wielki i potęga,  
Co w harmonię dusze sprzęga,  
    Wiecznym jest mój głos!  
Jam jest twórca mocny, dzielny,  
Kto mnie dotknie — nieśmiertelny!  
    Jak mój żywot, jak mój los!

Pokąd żyję — płoną świece,  
Wszystkie kocham białolice,  
    Wszystkie kocham wraz;  
Na splamione piersi wieszczę  
Gdy natchnienia padną deszcze,  
    Już nie mają skaz!

Ta, co dla mnie przeznaczona,  
W zgnilém łożu śmierci żona —  
    O straszny Ty, Boże!..  
    Rozkosznice,  
    Białolice

Niechaj duszę mą upoją —  
Ta, co kocham, nie jest moją!  
    Moją być nie może!

Dziś, gdy kocham... kłamię, kłamię!  
Cudzołóżne każde ramię,  
    Jakby srebrny miecz,  
Tak mnie rani, tak mnie boli,  
Tak prowadzi do niewoli...  
    Precz odemnie, precz!

Ta, co duszę mą rozumie,  
Odpowiedzieć mi nie umie,  
    W wiecznym leży śnie;  
Te, co dla mnie miłość czują,  
Choć kochają, nie pojmują —  
    Nikt nie kocha mnie!

Jam płomienny, górnny, lotny,  
A samotny, tak samotny,  
    Chociaż ludzi rój  
Depce progi mego domu;  
O! nie powiem ja nikomu:  
    Jam twój! jam twój!

Ta, co kocha i co wierzy  
    W me cnoty i serce,

Ta bezwładna w ziemi leży,  
A toczą ją żerce ;  
Ciężka ziemia ją przygniata —  
Lekka dla robactwa !  
A jam został pośród świata  
Nito pieśń tułactwa !

Precz odemnie, precz odemnie !  
Niech was piekiel skryją ciemnie,  
Jaskrawe wietrznice !  
Na tę moję, na tę jedną !  
Na tę senną, na tę biędną !  
Patrzają me żrenice.

Moich natchnień tyś natchnienie,  
Twego ducha jam odzienie,  
Tyś słońce, jam promień !  
W tobie żyję, w tobie cierpię,  
Z ciebie śpiewam, z ciebie czerpię,  
Jam dym, a tyś płomień !

Daj mi błyski, daj mi burze,  
Niechaj w nich się choć wynurzę  
Z żalem i tęsknotą ;

Niechaj pieśni z ciebie płyną,  
Niech jak tęczą mnie obwiną  
Natchnieniem i cnotą.  
*Kornel Ujejski.*

Z POEMATU „BENIOWSKI“.

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy  
Błękitnych polach, gdzie tak smutno  
[duszy,  
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny  
Z hymnem wietrzanym, gdy skrzy-  
[dłami ruszy,  
Proch zakrwawionój przez Tatarów  
[gliny!  
W popiołach złote słońce zawie-  
[ruszy,  
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma  
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma.

Kto Cię nie widział nigdy, wielki  
[Boże!  
Na wielkim stepie, przy słońcu  
[nieżywem,

Gdy wszystkich krzyżów mogilne po-

[dnóże

Wydaje się krwią i płomieniem

[krzywym --

A gdzieś daleko grzmi burzanów morze,

Mogily głosem wołają straszliwym,

Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,

Girlanda mogił gdzieś idzie i ginie.

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu

Na wielkim stepie albo na Golgocie ;

Ani wśród kolumn, które zamiast dachu

Mają nad sobą miesiąc i gwiazd

[krocie,

Ani też w uczuć młodości zapachu

Uczuł, że jesteś — ani rwąc sto-

[krocie,

Znalazł w stokrociach i niezapominkach,

A szuka w modłach i dobrych

[uczynkach —

Znajdzie... ja sądzę, że znajdzie... i życzę

Ludziom małego serca, kornój

<http://rcin.org.pl> [wiary,

Spokojnej śmierci. — Jehowy oblicze  
Błyskawicowe jest ogromnej miary!  
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę  
I widzę kości, co jako sztandary  
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety  
Leżą i świadczą o Bogu... szkielety;

Widzę, że nie jest On tylko robaków  
Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.  
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,  
A rozhukanych koni On nie kielza...  
On piórem z ognia jest dumnych szy-  
[szaków —  
Wielki czyn często Go ubłaga, nie lza  
Próżno stracona przed kościoła progiem,  
Przed Nim upada na twarz — on  
[jest Bogiem.

*Juliusz Słowacki.*

## Z PODRÓŻY DO ZIEMI ŚWIĘTEJ.

(Wyjątek).

I znowu wspomnień pieśń, dzika, echowa  
Zagrała w piersi i lzy moje płyną.

O Ludko! dziecka kochanko, bądź  
[zdrowa!

Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,  
Co niegdyś kładła koralowe grona  
Na twoje włosy, siądziesz zamyślona ;

Jeżeli książkę położysz przy sobie,  
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie,  
Kart nie odwracaj, bo nim spoczne  
[w grobie,

Będę ci śpiewał, jak mrąca łabędzie,  
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz  
[jeszcze  
Lecz brylantowych osypią cię deszcze

I lzy się żywe rozbiegną po łonie,  
I strumień palce różowe otworzy,  
Jeśli splakaną twarz ukryjesz w dłonie ;  
Ja wtenczas będę spokojny ; jak w zorzy  
Gwiazda niktąca, blady ; lub z obliczem  
Pełném promieni boskich... albo niczém.

Jednak, jeżeli Ten, co jest na niebie,  
Słyszał o słońca mówione zachodach



Modlitwy moje — wszystkie nie za siebie,  
A tak rozlane na świat, jak na wodach  
Mórz lazurowych rozlewał się cały  
Krąg tonącego słońca krwawo biały;

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno  
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć  
I nie przeklinać... i drogą bezludną  
Iść po tym świecie szalonym, i niknąć,  
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,  
Tą myślą modlić się... i nie przeklinać;

Jeśli i Boga nie zwiodła udana  
Spokojność moja, ta Chrystusa szata,  
Krwia poplamiona i drugi raz wdziana  
Na duszę pełną bólu... i ze świata  
Uciekająca na chmurach jesiennych  
We dnie tak smutne, jak noce bez-  
[sennych: —

To mojej duszy, dobytej z popiołów,  
Da wiele ciszy — i na jaką bladą  
Gwiazdę, do smutnych krainy aniołów  
Przeniesie senną. — Trupi prędko jadą,

Mówi poeta ballad w Leonorze;  
Więc na niemieckim chciałbym sięść  
[upiorze

I ruszyć w podróż, bo się pieśń prze-  
[przewlecze

Nie jedną jeszcze przerwana idea.  
Jutro kuryerem wyjeżdżam do Lecce,  
Jutro więc zacznę śpiewać Odysseą,  
Albo wyprawę o Jazona runach  
Na nowój lutni i na złotych strunach.

*Juliusz Słowacki.*

### SAM NA SAM.

Dzień był tak ciężki!.. Wieczór taki  
[głuchy,  
Wiejący grobów chłodem i żalobą...  
Wszystkie życzliwe odbiegły mnie duchy;  
Łzy i nadzieje unosząc ze sobą; —  
Więc przy ognisku wygasłém, zcier-  
[niałém,  
Sam na sam tylko z nieszczęściem zo-  
[stałém.

Gość to surowy — czuwa on przytomnie,  
Bym chwilę w słodsze'm nie spoczął  
[marzeniu,  
By żaden uśmiech nie doleciał do mnie,  
Na jakim słońca jaśniejszym promieniu,  
I od wszelakiéj pokusy mnie broni,  
Zawsze w żelaznéj przytrzymując dłoni.

Gość to surowy, serca nie rozpieści,  
Ani mu nie da we łzy się rozplynać;  
Lecz wszystkie naraz gromadząc bo-  
[leści,  
Każe mu stwardnieć pod ciosem — lub  
[zginać...  
I dalej w przyszłość prowadzi mnie  
[ciemną,  
Upominając, że wciąż będzie ze mną.

Ja mu zaś mówię: pozostań na straży  
Mojego życia, jak wierny towarzysz,  
Do twojéj groźnéj przywykłem już  
[twarzy,  
I do tych ciosów, którymi mnie da-  
[rzysz.

I skorzystałem wiele z twój wymowy,  
Nauczycielu wielki! choć surowy.

Dość mi, że w obec ciebie niezłamany,  
Na gruzach całej swój przeszłości stoję...  
Na tych dni kilka nie pragnę odmiany,  
Bo nie dbam więcej już o losy swoje;  
Lecz gdy mnie własne cierpienia utrudzą,  
Potrafię jeszcze żyć radością cudzą. —

Niech więc twa ręka wszystko we mnie  
[kruszy,  
Co z osobistém pragnieniem się wiąże:  
Najlepszój cząstki nie wydrzesz mi  
[z duszy,  
Ni téj światłości, w stronę której dążę...  
Depe śmiało ziemską istotę ułomną,  
O której duch mój i ludzie zapomną.

To, co dobrego w moich piersiach tkwiło,  
Co się wiązało z wspólném życiem świata,  
To pozostanie pięknością lub siłą,  
Choć się znikoma już odpadnie szata,

I w innych sercach żyć na nowo będzie,  
Dotychczasowe rzuciwszy narzędzie.

Zresztą — niech wszystko niepamięć  
[pochłonie,

Co nosi doli osobistej piętna —

Niech się rozgrywa dalej w mojem  
[łonie

Ta walka z losem smutna i namiętna...

Bo oto w świetle grobu tajemniczém

I ból... i rozkosz... zarówno są niczém!

*Asnyk.*

### BAJAZZO.

**R**ojno, tłumno, jak nabito,

Wszystko w targu, wszystko w swarze

Pieszko, wozem i karétą,

Pełno ludu na bazarze.

Huczą kramy, stajnie, domy,

Pogwar w każdém zakamarku;

Słowa niesie wiatr bez komy,

Sens zawiliły na jarmarku.

Ten sprzedaje, ten nabywa,  
Ten chce drogo, ten chce tanio ;  
Jakem pocziw ! każdy śpięwa,  
Wszyscy zacni, choć cyganią...

„Panowie i panie! najpiękniej prosimy  
W téj budzie dość miejsca, w niéj  
[wszystkich zmieścimy.  
Dwa dytki niewiele, rozważcie to  
[przecie,  
Już tańszéj zabawy nie znajdzie na  
[świecie !“

Tak głosi Bajazzo siedzący na budzie,  
I bębni i trąbi — już biegną i ludzie.  
I wielki i mały dwa dytki już wtyka,  
I w budzie prześliczna zagrzmiała  
[muzyka.

Już małpa po linie więzie małpę  
[w wózku,  
Już druga z bębenkiem tańczy po  
[francusku,

<http://rcin.org.pl>

Już niedźwiedź uczony przewraca  
[koziółka,  
W publice śmiech wielki od kółka  
[do kółka!

Już Hancwurst wyskoczył z Marjandlą  
[dokoła,  
Już trzasł ją w policzek; harcop mu  
[ucięła! —  
Już krzyku nie wstrzymać, już brawa  
[bez miary,  
Od śmiechu się kładzie i młody i stary!

Sam tylko Bajazzo, ta dusza publiki,  
Coś dzisiaj nie swoim, nie dba na  
[okrzyki,  
„He, hola, Bajazzo!“ krzyknie  
[majster z góry,  
Już śmiech się rozpał, ty stoisz  
[ponury?“

„Czyś chory, hultaju, czy gardło tve pości?  
Rusz dowcip z kopyta, baw mi zaraz  
[gości?“

„Hej, hejsa!“ podskoczył i krzyknął  
[Bajazzo,  
Nieprawdaż, żem wesół i przydam się  
[na co?“

Choć radość udawał, oko zaprzeczyło :  
Jak zmarłe, strętwiałe, nie widząc  
patrzyło!  
Daremnie na rozśmiejch swe chęci  
[wywierał!  
Żart nie szedł mu z serca, na  
[ustach umierał!

Zasłona zapadła — koniec widowisku;  
Publika Bajazza wzywa po nazwisku.  
Wychodzi i patrzy w swój kołpak spi-  
[czasty;  
„Co powie?“ ciekawe najbardziej nie-  
[wiasty.

Bo zawsze, gdy wyszedł, śmiech  
zewsząd zaszumiał;  
A teraz — jak gdyby trzech zli-  
[czyć nie umiał.



I cóż mu takiego, i cóż mu się stało?  
Tu idzie, patrzajcie, jak idzie nie-  
[śmiało

Bajazzo wśród widzów, dziećmi otoczony;  
Czekają żarciku, jak ziarnka gawrony.  
On kołpak ma w rękę, łzę z oka ociera,  
I cicho, żałośnie, tak usta otwiera:

„O zacni panowie, łaskawi panicze,  
„Ja żebrać nie umiem — ani sobie  
[życzę —  
„Lecz muszę, Bóg świadkiem, bo  
[mam żonę chorą,  
„Ach! chce mnie opuścić i dzieci  
[pięcioro!

„A bez niéj — my biédni — nie ma  
[nam pociechy!  
„Tam ciężko złożona, — ja tu robię  
[śmiechy...  
„Przez litość, panowie, rzućcie groszy  
[kilka,  
„Już może zapóźno!“ to rzekłszy, umilka.

„Hej hola, Bajazzo ! czy mam znijsć  
[do ciebie ?

„Ty, widzę, chcesz pracy o żebranym  
[chlebie ;

„Czy śmiać się nie umiesz, chcesz  
[mojej nauki ?“

Tak woła ze sceny mistrz nadobnej  
[sztuki.

„Hej, hejsa, wesoło ! będą nowe zbytki,  
„Kto chce je oglądać, niech daje dwa  
[dytki ;“

Tak wzywa Bajazzo — aż tu jednym  
[razem

Wrzask budę przeleciał, on stanął jak  
[głazem.

I jakaś dziewczynka lachmany otkana  
Wprost bieży do niego, ściska mu  
[kolana

I woła : „Ach, ojcze, nasza mama  
[blada,

Chociaż ją wołamy, nic nie od-  
[powiada !“

Tym gromem uderzon, jak piorunem  
[w ciemię,  
Kołpak z rąk wypuszcza, groszem sieje  
[w ziemię,  
W słup oczy stanęły, boleść serce zwarła,  
Członkami wstrząsł strasznie i krzyknął :  
[„Umarła !“

„Skończyłaś, Heleno ! — Twoja wola,  
[Boże !“

Chwieje się — opiera — już ustać  
[nie może —

„He, hola, Bajazzo, co ty dzisiaj  
[broisz ?

„Czy wróble chcesz straszyć, że  
[jak bałwan stoisz ?“

Tak mistrz sztuk nadobnych odezwie  
[się z krzykiem,  
I trzaska Bajazza z leciutka biczkiem.  
Bajazzo się ocknął, i otarł pot z czoła,  
„Hej, hejsa, wesoło !“ dziwnym głosem  
[wola :

„Panowie i panie! najpiękniej pro-  
[simy!  
„W téj budzie dość miejsca, wszyscy  
[się zmieścimy!  
„Trzy łokcie niewiele — tam pokoj  
[prawdziwy.“ —  
To mówiąc upada — „Ach ojcze!“...  
[nieżywy!

Już w budzie ucichło — już scena  
[w chałupie:  
Na mierzwie, patrzajcie, trup leży przy  
[trupie,  
Ich wieńcem w około półnagie dziecięta,  
Przezuciem swój straty złożyły rączęta.  
Na gwoździu kołpaczek, na nim oręż  
[z gonty,  
Przy ciele z dziatkami cztery puste kąty.  
W świeczniku groszowa dogorywa świeca,  
Z za pieca ciekawa wgląda uczennica.  
Noc razem ze świerszczem pieśń głuchą  
[śpiewała,  
Publiki nie było, a małpa się śmiała.

Ballada *J. N. Kamiński*skiego.

## POWITANIE.

Był dzień niedzielny o jesiennój porze ;  
Na zachód słońce w las bukowy tonie,  
Przedsenne pieśni ptactwo kwili w borze,  
I ptak w przedsenne otoczył się wonie.

Niewinném szczęściem grzmi po-  
[bliskie sioło,  
Skrzypek w najlepsze wygrywa w go-  
[spodzie ;  
Młodzież wśród płasów wykrzyka wesoło,  
Starzy o wojnie gawędzą przy miodzie.

Wszędzie wesele a nie ujrysz troski,  
Bo praca darzy niebiańską pociechą  
Serce pocziwe. W pośrodku téj wioski  
Stał dom drewniany, pod słomianą  
[strzechą,

I był jak inne poziomój prostoty ;  
Tylko dostatek większy go otacza,  
Bujniejszy sadek, dłuższe ulów roty,  
I porządniejszy cały sprzęt oracza :

W chacie zaś ściany śnieżno obie-  
[lone  
Zajęli święci w jaskrawój odzieży ;

Tam przy kominku widać kmiotka żonę,  
Jak koło skromnej krząta się wieczerzy.

A wśród podwórka na miękkiej mu-  
[rawie

Dziwczę starego brysia wodzi w tany;  
A pod okienkiem na dębowej ławie  
Siedzi gospodarz smutny, zadumany.

Czego on smutny?.. wszak w jego  
[stodole

Plenny dar boży, sad purpurą płonie,  
Błogą nadzieją zieleni się pole,  
Zdrowy dobytek, pszczołka złotkiem  
[dzwoni.

Czego on smutny? on który w wesele,  
W radę i mężne bogaty uczucie;  
Dziś bez gawędy poszli przyjaciele;  
Czy miał przecucie?.. musiał mieć  
[przecucie.

Bo kiedy nagle pies skoczył do sadu,  
I skomlać ścieżką pobieżał na pole,  
Zadrzał, jakoby myśl wyrwał z nieładu,  
Który od rana ciążył mu na czole.

I słucha, jako donośne szczekanie  
Raptem w piskliwe, ciche tony spada,

Jak gdyby radość, żal czy powitanie ;  
A wtém dziewczeczka zadyszana wpada,

I woła: „tato... o! tato... tam  
[w bramie...

O! tam bryś wita... o! lecę do mamy...

Staś wrócił z wojny... a ja powiem  
[mamie“...

A nasz gospodarz już stoi u bramy.

A przed nim młodzian prześlicznój  
[urody

Płaszcz nad wzniosłymi otulił ramiony ;

Twarz jego blada, zapadłe jagody,

Jakby był ciężką chorobą znużony.

I stoją oba w milczeniu,

Synowi łzami źrenica zabiega,

A ojciec zda się szukać w tém spojrzeniu,

Co w nim ma witać, zwycięzcę, czy —  
[zbiega ?

I milczą jeszcze... a już chatki ściany

I sad drżącymi matczynymi słowy

Brzmi dookoła: „gdzie mój Staś ko-  
[chany !

Gdzie on jest... gdzie on ! czy mi wraca

[zdrowy ?..

Czy już nie pójdzie? a gdzie on

[jest przecie!..

Już mi go wszyscy witali, o Boże!

Ach!.. jaki blady, co ci jest, me dziecię!

Czyś ty chorował... czyś ty chory

[może!

Czegoż tak stoisz niemy i zmieszany!

Gdybyś ty wiedział... o! dzisiaj nie

[o mnie...

Wszak już zostaniesz... prawda, mój

[kochany?..

O jam szczęśliwa!.. pójdź do mnie,

[pójdź do mnie!“

I już go ściska, już tuli do łona

Lecz gdy się w szczęściu matka nie

[posiada,

I płaszcz rozrywa, co mu krył ramiona,

Z krzykiem rozpaczy u stóp syna pada.

A ojciec obie załamuje dłonie,

Dwa mu po licach łez płyną strumienie;

I syn znów stoi samotny na stronie,

I znowu długie, grobowe milczenie.

A u ramienia, tam gdzie ręka prawa,

Cały majątek biednego człowieka,



Z wiatrem mu kawał powiewa rękawa,  
Pusty, jak ten grób, co ofiary czeka.

*J. N. Jaśkowski.*

### CHŁOPIEC Z BRUKU.

Mgła zapadła nad miastem-olbrzymem,  
Światło dzienne łamiąc na pół-cienie;  
Z murów wilgoć wyszła, jak sumienie,  
A kominy oddychały dymem.

Pod tym brzaskiem północnej jesieni  
Wszystko w barwę zlewało się płową;  
Ulicami ze spuszczoną głową  
Szli przechodnie w płaszcze otuleni;  
Przez nabrzękle sinych chmur rzeszoto  
Deszczyk prószył drobny, gęsty, płynny,  
I pluskało pod kołami błoto,  
I wiatr hulał i płakały rynny.

W dal ulica ciągnęła się dymna.  
Na chodniku, przy bramie pod murem,  
Stał chłopczyna z wejrzeniem ponurém,  
Z siną twarzą, skostniały od zimna,  
Pochylony nad uliczną kładką.  
Smutnym wzrokiem spoglądał dokoła...

Chłopak z bruku, któż powiedzieć zdoła,  
Skąd on? kto ojcem? kto matką?

Chłopak z bruku — on w miejskiej ro-  
[dzinie

Jak sprzęt lichy, co każdy potraça.

Ileż w ciągu roku lub miesiąca

Takich dzieci rodzi się i ginie!

Ileż takich, co zgłodniałą zgrają

Na uliczném błocie się tarzają!

On stał biédny, wpół nagi i bosy,

Jakby w deszczu wsłuchany plu-

[skanie,

Czasem znagła zatrząsł się w ła-

chmianie

I odgarnął z czoła zwilgłe włosy;

W jego oczach tkwił wyraz zwie-

[rzęcy

Przygnębienia, widny i nędzarzy.

Czoło niskie — znać że na téj

[twarzy

Nigdy uśmiech nie powstał dziecięcy;

Że nieszczęsne stworzenie to boże

Los ogniwem zaciska surowém;

Że go własna nawet matka może

Nigdy słodkiem nie witała słowem.  
Czyjeż oko odgadnie to, czyje,  
Czém się żywi to szczenię czło-  
[wiecze?

Ile lat już nędzę swoją wlecze,  
Czy zna Boga i czy wie, że żyje?

Nagle bramy skrzypnęły zawiasy,  
Powóz jakiś wjeżdżał na podwórko;  
Przez zamknięte szyby téj kolasy  
Dwie kobiety, widać matka z córką,  
Wyglądały z duchowym spokojem,  
Uśmiechnięte w błogiém szczęściu swoim,  
Promieniające urodą i wdziękiem.

Chłopak zwrócił ku nim swe spojrzenie,  
Mętne, mgliste, — i nagłe westchnienie  
Z piersi jego dobyło się z jękiem.

Co on myślał i czy myślał zgoła?  
Czy coś drgnęło w téj istocie lichéj?  
Może skrzydło pociechy anioła  
Lot ku niemu skierowało cichy,  
Że się wsluchiwał w jakieś echo świata  
Na ten widok szczęścia, co przelata.

Więc posunął się o krok, a potem  
Znoważ o krok, jakby lisim torem,

I nieśmiałe spojrzenie przelotem  
Rzucił w bramę, co stała otworem.  
Brama była ciemną, wąską, długą,  
Od ulicy tylko z falą białą  
Światło przez nią przebiegało strugą  
I coś w cieniu w kącie się ruszało.

Chłopak spozrzał: tam z boku, od  
[ściany,  
Która w środku w sień się wyginała,  
Stała psina kudłata i mała  
Przed ogromną misą z porcelany,  
Z której ciepłe jedzenie dymiło.  
Pies był piękny i tłusty, aż miło:  
Morda krótka, z czoła na ślepięta  
Sierść spadała jedwabista, długa;  
Znać, że często grzebienia usługa  
O téj sierści starannie pamięta,  
Że ją pani plecie i rozplata  
Sama.

Dziwnie ta psina kudłata  
Spoglądała pogardliwie, z góry;  
W tych oczętach przymglonych się budzi  
Jakaś litość dla mizernih ludzi,  
Co nie doszli jego psiéj natury.

Choć się jadło do niego przymila  
I woń sosów bije zeń z daleka,  
Pies przed miską przystanął i czeka.  
Może przyjdzie apetytu chwila;  
Wszakże przed nim czasu jest niemało,  
Toż dla niego śniadanie już wtóre;  
Przed godziną jadł cukierki, które  
Pani ręką dawała mu białą.  
Ociąga się, namyśla i leni,  
Choć z lekarskiej porady jedynie  
Wyniesiono tę misę do sieni,  
Bo w pokoju zbyt duszno jest psinie.  
Więc porzucił miękkie swoje leże,  
By pójść trawić na powietrze świeże.  
A tymczasem jadło ostygalo.

Chłopak głowę wychylił, — na skronie  
Krew mu zbiegła, zczzerwieniał,

[i całą

Piersią wchłaniał te nęcące wonie;  
Dziwnie jakoś wydęły się płuca,  
I wyciągnął przed się ręce obie,  
Jakby zgarnąć chciał gwałtem ku

[sobie .

Ową strawę, którą pies porzuca.

Dzikim blaskiem zalśniły mu oczy,  
Znać, że walka w nim jakaś się toczy,  
Bo przystąpił krok jeden i znowu  
Wtył się cofnął; wstrząsały nim  
[dreszcze,

Chwilkę jedną namyślał się jeszcze,  
I rzucił się jak wilk do połowu.

Pies się cofnął na chwilę, strwożony  
Tym napadem niespodzianym chłopca;  
Ale widząc, iż ta postać obca  
Już zatapia w jadle swoje szpony,  
Warknął, dziko mu się nasrożyły  
Ślepia, i jął szczekać z całej siły,  
Aż złocona trzęsła się obroża.

Na wysilek nagły psiego gardła  
Od komórki furtka się otwarła  
I wyjrzała zaspana twarz stróża.  
A wypadło to właśnie w téj chwili,  
Kiedy w boku chorobę upartą  
Szpagatówki leczył miarką czwartą,  
Bo kumowie tak mu doradzili.  
Rzutem oka objął scenę całą  
I zobaczył, co psu zagrażało.  
Jakto? Obcy przybysz chce zuchwale

Pieska pani mącić spokój błogi?

Więc się zerwał stróż na równe

[nogi

I w gniewliwym poskoczył zapale:

„Oberwańcze! — zawołał — wisusie!

„Więc przyszedłeś tu, plemię sobacze,

„Psa podkradać? Mięsa chciało mu się!..

„Ja cię mięsem, zdechlaku, uraczę!“

I łopata, którą trzymał w dłoni,

Silnie w głowę ugodził chłopczyne,

Że aż pręgi wystąpiły sine

I krwi krople wybiegły ze skroni.

Pod tym ciosem chłopak wstrząsł się

[cały,

Pobladł strasznie, wargi mu zadrgały,

Chciał coś mówić, ale w piersiach słowo

Zamarło; łzawém spojrział przed się okiem,

Zatoczył się, potrząsł smutnie głową,

I powolnym wyszedł z bramy krokiem.

A stróż rzucił spojrzeniem zbójcekiem

Za nim, złożył łopatę na ławę,

I podsunął psu napowrót strawę.

Pies utyje, lecz cóż będzie z dzieckiem?

## SOBOTNI WIECZÓR.

Od zgrzytającej zębami maszyny  
Powstał znużony, z osłupiałém okiem,  
W którym się palił płomyk jakiś siny,  
I przeszedł izbę w milczeniu głębokiém.  
O czém miał mówić? wszak świata obroty,  
Jego pragnienia i walki i ruchy  
Nie dobiegają tam, gdzie ciężkie młoty,  
Grzmiąc przez dzień cały, ogłuszają duchy.  
Jak senny przeszedł przez puste warsztaty,  
Z głową zwieszoną, obliczem wygasłém,  
Aż tam, gdzie kasy okienko z za kraty  
Migało wypląt tygodniowych hasłem.  
W około gwarnym cisnęli się tłumem  
Dnia najemnicy, z zamgloną źrenicą;  
A zmrok zapadał z głuchém jakimś  
[szumem  
Ponad tych istnień smutną tajemnicą...  
Zapłatę swoją wziął w ciżbie ostatni  
I wyszedł, czoło ocierając z potu...  
Po dniu spędzonym wśród maszyn loskotu  
Chciałby usłyszeć głos ludzki, głos bratni,  
Myśl z odretwiénia rozbudzić w gawędzie,



Uścisnąć rękę przyjaźni życzliwą,  
Poczuć w swym bycie nie martwe na-  
[rzędzie,  
Lecz jakieś żywe ludzkości ogniwo...  
Stanął w ulicy: na rogu jaskrawy  
Napis obwieszczał, że tutaj dostanie  
Głośniejszą muzyki i hucznęcej zabawy,  
I zapomnienia o każdej swój ranie...  
U wejścia para buchnęła gorąca,  
Tłum robotników cisnął się nawałem,  
A błędny obłok skrzydłem swoim białym  
Chwytał przebłyski gasnącego słońca...  
Cofnął się młody wyrobnik z przed  
[progu;  
Ten zmierzch wieczorny, przejrzysty,  
[różowy,  
Jakieś mu dumki nawiewał do głowy  
O wiosnie, ciszy, przyrodzie i Bogu;  
Jakieś pytania o życiu, o świecie,  
Zmąconą falą o duszę mu biły...  
On czuł się częścią i ruchu i siły,  
Lecz nieświadomą i bierną jak dziecię...  
Powiew żywszego, szerszego już prądu  
Pchnął myśli jego na głębie od brzegu...

Lecz brakło steru... i w błędnym tym  
[biegu  
Nie umiał dostrzec przystani i lądu.  
Czuł, że są wyższe i czystsze uciechy  
Nad wrzask pijanej ciżby i muzyki,  
Nad wyuzdaną swawolę i śmiechy,  
Nad brzęk kieliszków i klątwy i krzyki...  
Lecz gdzie je znaleźć? ach! gdyby  
[w tym tłumie  
Usłyszał jakieś dobre, mądre słowo,  
Rzeźwiące rosą myśl jego jałową,  
Jakżeby słuchał w poważnej zadumie!  
Serca stwardniałej dłoni swój uściskiem!..  
Jakżeby chętnie żył choć chwilę życiem  
Wiedzy i światła i prac ducha bliskiem...  
Stał tak niepełny, a wrzawa kipiała.  
Przed nim szli ludzie; myślące oblicza  
Siła sympatyj jakiejś tajemnicza  
Nieraz ku niemu przyjaźnie zwracała...  
Z przechodniów owych niejedyn zapewne  
Kochał lud, myślał o jego oświacie,  
I miał dla niego to uczucie rzewne,  
Które obcemu nawet mówi: „bracie!“...  
Lecz gdzież są drogi, na którychby duchy

Dwóch sfer odmiennych schodziły się  
[społem?  
Czyliż zwyczaje, jak więzów łańcuchy,  
Każdej z nich ciasnym nie zamknęły  
[kołem!  
Przedmiotem czyjój troski i narady  
Jest znikczemnienie w zwierzęcym spo-  
[czynku?  
Czyliż więc dziwo, że wyrobnik błady  
Postał, podumał i poszedł — do szynku.  
*Maryja Konopnicka.*

## I NIE USTRZEĞŁA.

(Z krwawych obrazków).

Niechże Pan Bóg już sądzi, jak chce!..  
[ludzie skarżą,  
Krew za krew, tak... za córkę stracą  
[matkę biędną,  
Tak trzeba... już jak ścięta szlam tutaj  
[pod strażą...  
Zdejną głowę, czy w lochy wrzucą —  
[wszystko jedno.  
Stało się, co musiało.

Gdyby mnie tak była

Moja matka siekierą głowę rozwalila,  
Kiedym do niej wróciła pierwszy raz

[zhańbiona,

I to dziecko, tę żmiję przyniosła u łona,  
Gdyby była zadała truciki mnie i jemu,  
Byłby odrazu koniec niedoli i złemu: —  
A tak wszystko musiało paść na ręce

[moje,

Więc padło i dziś we krwi, ot — zbro-  
[dniarka stoję,  
I kończę życie nędzne, jakem je zaczęła.

Kogo winić i kogo potępiać? — co

[mi tam!

Nie pora rozumować po spełnieniu  
[dzieła.

Kto był z nas najwinniejszy — Bóg wie,  
[ja nie pytam,

W grobie się pogodzimy.

Biędna matka prochem

Dziś już w mogile swojej; lepiej, że  
[umarła,

Niżby miała zanosić się płaczem i szlo-  
[chem;

Resztę by siwych włosów z głowy swój  
[wydarła,  
Jak wówczas, kiedy córki swój hańbę  
[spozstrzegła...  
Jęknęła... pięść podniosła ku niebu  
[i legła  
Jak pień podcięty toporem, jak kłoda...  
To i lepiej.

Ja byłam wówczas jeszcze  
[młoda  
I głupia, a po głowie snuły się dzie-  
[wczęcój  
Mrzonki.... twarz gładką miałam na  
[mą biędę —  
Oj, ta gładka twarz dziewcząt zgubiła  
[najwięcój  
I czyste młode dusze wtrąciła w ohydę.  
Ha, no cóż?.. przyszedł, szeptał,  
[śpiewał, bałamucił,  
Przysięgał miłość wieczną, uwiódł i po-  
[rzucił...  
Zawsze to samo, zawsze kiedy dyabeł  
[stręczy,  
A serce się domaga... na nitce pajęczój

Zaprowadzi dziewczynę aż na brzeg  
[otchłani.  
Kochałam, raz jedyny — Bogu przysięg  
[mogę  
I ta miłość mię właśnie zwiodła na złą  
[drogę,  
I siebie, matkę, życie poświęciłam dla niéj,  
A za to wzięłam hańbę w zamian dla  
[pokuty,  
I lzy, sieroctwo, i wstyd i wyrzuty,  
Które mi gryzły serce, jak robaki ciało:  
Upadłam, a los kopał, i lata to trwało!..  
Świat palcami wytykał, wyrzekli się swoi,  
On, jak inni... lecz co tam! przed Bo-  
[giem już stoi,  
Niech się Bogu wykręca i z winy tłó-  
[maczy —  
Magdalenie przebaczył Pan — jemu  
[przebaczy.  
Zostałam sama z dzieckiem...

Prawda, płacić chcieli,  
Dla dziecka nawet przyszłość zabez-  
[pieczyć mieli;  
Ale mi je kazali niby szezanie rzucić,

I pójść sobie w świat samój, gdzie oczy  
[poniosą,  
Wyjechać z miasta, z kraju i nie wrócić,  
Jeżeli nie chcę chodzić i głodno  
[i boso...

Wolałam to... ja matka, to psie  
[prawo moje  
Być przy dziecku, przy mojej hańbie  
[czy też chlubie,  
Wszystko jedno, — ja matka, przy tém  
[prawie stoję!..

Próbowali przymusić — ulegli po  
[próbie,  
I sami odstąpili, — rzuciłam im w oczy  
Jałmużnę, tak — bom ja się sprzedawać  
[nie chciała,  
Jak ta wyrodna.

O! serce krwią broczy...  
Upadłam — prawda, Boże, alem ja ko-  
[chała!..  
Co tam, złe zawsze złem i czeka  
[kary,  
Przyszła, przyszła, a lata ciągnęły się  
[całe...

Zwiędło, wyschło, pożółkło moje liczko

[białe :

Młoda jeszcze, a byłam podobna do mary,

Co się po bożym świecie wśród ludzi

[kołacze

I ugina pod klątwą, a nawet nie płacze,

Bo Bóg lzy zabrał dla większej pokuty.

Zacięłam usta, gryząc ten żywot zatruty,

I jedną tylko myślą krzepiłam się

[jeszcze :

Że ja to moje dziecko wyniańczę, wy-

[pieszczę,

Wychucham i wychowam z duszą kry-

[ształową,

I że w niém się oczyszczę, odrodzę na

[nowo.

Więc strzegłam, pilnowałam, jako oka

[w głowie...

Oj, na dużo się zdało !

Bóg dał krasę, zdrowie :

Jak jabłuszko dziewczyna dojrzała, jak

[kwiatek,

Świeża — mogła być chlubą naj-

[uczciwszych matek,



Ale dyabeł na zdobycz czyhał, bo to jego  
Zatrute soki widać — są w owocach  
[złego!

Nie pomogły starania, trudy i opieka —  
Złe zawsze złem i kary zasłużonej czeka.

Wyrosła mi jak drzewko wysmukła  
[i wiotka,  
Oczy czarne jak tarki, usta jak maliny,  
A łasić się umiała układnie, jak kotka,  
Choć serce było zimne jak stal... u dzie-  
[wczyny —

To najgorsze.

Plakałam, modliłam się Bogu,  
Żeby mi ją odmienił, przy kościelnym  
[progu  
Kolanami wytłukłam dół... na nic się  
[zdało!

Czart musiał wziąć na końcu, co mu  
[przypadało.

Myślałam, że się znajdzie jaki człek  
[uczciwy,  
Choćby z prostego stanu, zakocha, po-  
[kłoni!

I weźmie ją i będzie przy pracy szczęśliwy.

Gdzie tam!.. co który lepszy przybliży  
[się do niój,  
Ta z góry, lub przez ramię patrzy,  
[fochy stroi! —  
Nieraz mówię: „Dziewczyno, co się  
[tobie roi!  
„Gładką buzią nie zwabisz grafa, ani  
[księcia. —  
„Dla mnie, to i rzemieślnik za dobry  
[na zięcia!..

Alé ona przed lustrem mizdrzy się,  
[bywało,  
I milczy zachmurzona, albo tak odpowie,  
Że mi dreszcz wstrząśnie całe zimne  
[ciało,  
A rozpalone węgle uczuwam na głowie.  
Więc przekładam i proszę i błagam  
[i łaję,  
Trzymam jak na uwięzi, do księdza  
[prowadzę —  
Nareszcie wstyd rzuciwszy, z siebie  
[przykład daję —  
Nie i nic... już jak siostra, nie jak  
[matka, radzę,



Ale lis sprytny, dobrze szczwany był  
[niestety!

Raz w gorączce zboląła i troską zne-  
[kana,

Ja matka, padłam przed nią, ot tak —  
[na kolana

I błagam ją: „Dziewczyno miej litość  
[nad sobą,

„Nie idź na oślep, nie leć w przepaść  
[ciemną —

„Dwadzieścia lat się wiłam pod moją  
[żałobą,

„Słuchaj — mówię — źle będzie i z tobą  
[i ze mną!

„Nie igraj z pokuszeniem, słuchaj!..  
Żal się, Boże!

Wzruszyła ramionami, jak zwykle... ot  
[źmija.

Prędzój ja cię do trumny, dziewczyno —  
[ułożę!..

I położyłam w końcu, bo rozpacz  
[zabija

A we mnie cała dusza spłonęła téj nocy,  
Gdy... <http://rcin.org.pl>

W piersiach mi zapiera, mówię, nie  
[mam mocy,  
Ale powiem, jak było — powiem, nie  
[zataję.

Był czwartek — święto... wyszła  
[pokryjomu...  
Godzina, dwie, zmierzch zapadł, a jój  
[nie ma w domu;  
Chodzę, wyglądam oknem, we drzwiach  
[staję...

Jakiś bies mnie opętał...

Dobrze się ściemniło,  
Już noc... w ulicach zcichło... jój jeszcze  
[nie było.

Zarzuciłam na głowę chustkę i stanęłam  
[w sieni...

Czekam... Może nie — myślę — gdzieś  
[ją zatrzymali —

„Wróci... głupstwo! — lecz w głowie  
[mam piekło płomienne.

Wreszcie — słucham... turkot dał się  
[słyszeć w dali,

A mnie czegoś po sercu przeszło, jakby  
[kołem...

Bliżej... bliżej... wychylam głowę z ka-  
[mienicy,

Patrzę... włosy mi dęba stanęły nad  
[czołem...

Tam karetą stanęła na rogu ulicy,  
A z karety ktoś wypadł jak kraska  
[spłoszona,

I biegł ku bramie...

Poznałam, to ona!  
Tchu mi brakło, krew młotem uderzyła  
[w skronie,

Chwilę tylko...

Przy kłodzie u wejścia  
[z podwórza  
Błysnęło coś... siekiera! nie wiem czyja?  
[stróża,

Czy dyabła, co ją matce szalonej po-  
[kazał —

Tego, który mi córkę pierwój hańbą  
[zmazał.

Biegła... woalkę odgiął wiatr przy  
[kapeluszu,

Weszła w bramę... spojrzałam, światło  
[na nią padło...

Zatrzymała się chwilę i rękę do uszu  
Podniosła... serce moje jój hańbę od-

[gadło :

W uszach zaświecił brylant... za cześć

[jój zapłata!..

Pamiętam... kólczyk z ucha wydarłam

[jak wściekła; —

Trysnęła krew...

Ach czemuż wówczas nie

[uciekła,

Czemuż dała się matce swój zamienić

[w kata!

„Nędznico!.. głos mi w krtani uwiązł,

[tak mi splacasz

Moję miłość i pracę! mów, mów —

[skąd powracasz?..

Stamtąd... gdzieś się sprzedała? w pie-

[kło idź zhańbioną!“

Kto mi podał siekierę do rąk, kto

[ją rzucił

Na głowę mego dziecka — Bóg jeden

[wie pono,

Ja omdlałam...

Gdzie, kiedy i kto mnie  
[ocucił —  
Nie wiem, ale do niego mam żal —  
[nie do Boga...  
*Maryjan Gawalewicz.*

FRAGMENT.

I.

Pamiętasz? (boć się często to zdarzało  
[przecie)  
W późną noc w okularach przy lampce  
[przyémionej  
Czytywałaś cicho biblię, i wciąż wzrok  
[stęskniony  
Zwracałaś ku drzwiom, na swe oczę-  
[kując dziecię.

I wreszcie po północy, na Manfreda  
[chory,  
Bez sił, z sercem wijącym się w czar-  
[ném zwątpieniu,  
Jam wracał, u nóg twoich klękał, i w mil-  
[czeniu



Słuchałem, czy mi przecie nie powiesz  
[perory;  
A tyś bez skargi, żem cię samotną zostawił,  
Kładła zmarszczoną rękę na skroni  
[mój wrzącój  
I pytała z uśmiechem, „czyś dobrze  
[się bawił?“

Lub „czemuś taki blady? powiedz matce  
[starój;“  
A jam milczał, dla czegoż? toć pacierz  
[gorący,  
Pacierz matki otwiera raj szczęścia i wiary.

## II.

Jak twarz Garrika, co jednocześnie  
Śmiechem i płaczem do ludzi lśniła;  
Tak pieśń ma razem łkała boleśnie  
I gorzko drwiła. —

Ja miałem serce wielkie i dumne,  
Co znało tylko miłość i wzdargę;  
Laurów nie chciałem tu ani w trumnę

Na czoło harde.

Jam kochał słońce, kochał jak Goethe,  
Światła i dźwięki, bo hymn radości  
Jasných aniołów winien poetę  
Wieść w kraj wieczności.

I zszedłszy życia szlak ten pokutny,  
Na méj mogiły śpiewaczéj progę,  
Złożyłem ludziom pieśni kwiat smutny,  
Krwawe łyzy Boga.

*Miron.*

### Ś L U B.

(Ballada studencka).

W maryackim poważnym kościele  
Ślubna para przed ołtarzem klęczy —  
W koło gości postrojonych wiele.  
Pannę młodą wianek z mirtu wieńczy,  
Ona w ziemię patrzy się modląca —  
Cudne lica to bledną to płoną,  
Białe ciało pod lekką osłoną  
Drży, jak puchy, gdy o nie wiatr trąca.

Nic dziwnego, że panna tak trwożna,  
Że tak płonie i taka nabożna,

Bo to pierwszy raz jój się wydarza,  
Że do ślubu klęka u ołtarza. —  
Lecz pan młody, ten innym był wcale —  
On łańcuszkiem bawił się niedbale  
I był sobie z taką miną prawie,  
Jakby w domu i przy czarnej kawie :  
Wąsik muskał i patrzył się drwiąco  
Na dwie družki, co przy nim klęczały  
I o mężów wzdychały gorąco,  
I o prędkim swym ślubie myślały.  
Goście sobie szeptali coś skrycie —  
Tak czekano na księdza przybycie.  
A za gośćmi onymi na boku  
Jakiś młodzian stał z rozpaczą w oku,  
Z rozczochranym włosem, bladój twarzy,  
Patrzył dziko na stopnie ołtarzy —  
A pod pachą, pod płaszczem fałdami,  
Coś namiętnie przyciskał rękami...  
Czy pistolet czy głównię sztyleta ?  
Nie — to były książki i kajeta :  
Bo wam krótko tę sprawę objaśnię,  
Że młodzieniec szedł do szkoły właśnie  
I przeczuciem, czy trafem zagnany,  
Wszedł i trafił na śluby kochanej. —

O miłości téj opowiem wiernie:  
Panicz ciotkę miał; ciotunia głucha  
Ale dobra, poczciwa starucha,  
I kuzynka kochała niezmiernie.  
Więc kuzynek korzystał z dobroci  
I co lato przyjeżdżał do cioci.  
I zdarzyło się w tę porę samą,  
Że ta panna, co dziś u ołtarza  
Tak nieśmiało przysięgę powtarza,  
Przyjechała tam także z swą mamą; —  
Ale wtedy młodsza była wiele. —

Panicz patrzył na pannę nieśmiele —  
I panienka na niego ukradkiem;  
Aż się raz spotkali przypadkiem  
Przy malinach... i rumiani cali  
Długo, długo ze sobą gadali. —  
Odtąd panicz ciągle był przy pannie;  
To jój książkę czytywał w altanie,  
To ją woził na łódce po wodzie,  
To z nią kwiatki podlewał w ogrodzie.  
A panienka młoda jemu za to  
Słówka, oczka rzuceła zapłata;  
To zasiadła znów przy fortepianie

Dumki grała — a on patrzył na nią,  
Jakby ją chciał zjeść oczami swemi,  
I robiło mu się niebo z ziemi. —

Ale stało się raz w piękne rano,  
Że panicza do szkół odesłano,  
I z panienką wyjechała matka,  
I tak koniec był temu kochaniu. —

Potém panna rosła coraz w latka...  
Aż się stała panną na wydaniu.  
I starał się o nią jeden młody,  
Co miał rozum, bródkę i dochody —  
To chyba by dziwną panna była,  
Gdyby takim szczęściem pogardziła. —

Ale panicz nie zmądrzał tak skoro  
Jak panienka. I w szkole i w domu  
Wciąż do panny wzdychał pokryjomu,  
I pisywał o niej wierszy sporo. —

I dziś, patrzcie — blady — lzy ma  
[w oku —  
Tak mu było równie raz przed laty,

Kiedy wracał po skończonym roku  
Bez promocyi ze szkoły — do taty!..

Ślub się skończył — zagrały organy,  
Zaszumiały znów jedwabne stroje —  
Wyszli goście i małżonków dwoje,  
I już panicz pozbył się kochanój...  
Już jój może więcej nie zobaczy...  
Już do szkoły nie chciał iść z rozpaczy,  
Ale poszedł nad Wisły strumienie,  
I złe myśli szły za nim, jak cienie...  
A na drugi dzień młodzieńca ciało  
Znaleziono rankiem, jak leżało...  
Snem ujęte na miękkiej pościeli. —  
Chciał się wprawdzie wczoraj do topieli  
Rzucić, skończyć nędzny żywot; ale  
Na nieszczęście pływał doskonale. —

Więc ten zamiar wybił sobie z głowy,  
Tylko cały dzień się w polach włóczył,  
Sam ze sobą dzikie wiodąc mowy;  
Aż, gdy mu już głód dobrze dokuczył,  
Późną nocą do domu powrócił,  
Zjadł więczerzę i w łóżko się rzucił. —

O! nie budźcie mi, proszę, młodziana!  
Niech śpi choćby do drugiego rana —  
Wszak powiedział jeden śpiewak w pieśni:  
Tyle tylko szczęścia, co człek prześni.

*Michał Bałucki.*

## LEGENDA

pierwszej miłości.

Ja ją kochałem, tak mi się zdaje,  
Bo cudną była w szesnastej wiosnie,  
Umiała patrzeć na mnie miłośnie  
I rwać mi serce w nadziemskie kraje.  
A więc w jej oczach pełnych tęsknoty  
Tonąłem wzrokiem i tak na jawie,  
Śniłem o różach, które ciekawie  
Po nad jej włosów wybiegły sploty,  
Tak że je zrywać ustami chciałem,  
I byłbym przysiągł, że ją kochałem!

Ja ją kochałem, ach! jestem pewny!  
Bom często błdził w noc księżycową,  
Przypominając mojej królewniej,  
Każde spojrzenie i każde słowo!

A w gwiazdy patrząc w pół nieprzy-  
[tomnie,  
Widziałem usta zwrócone do mnie,  
Że aż mię brała wielka pokusa  
W wonne powietrze rzucić całusa;  
Lecz się obrazić skromnej lękałem,  
I dość mi było, że ją kochałem...

Miłość to była, lecz taka cicha,  
Że sam przed sobą bałem się zdradzić,  
I tylko kwiatów szedłem się radzić,  
Czemu dziś smutna? i czemu wzdycha?  
Ale o serca jój tajemnicę  
Nie chciałem nawet lilii zapytać;  
A gdy w ogrodzie weszła ulicę,  
Stałem, nie śmiejąc wzrokiem ją witać,  
I tylko do nóg upaść jój chciałem,  
Kiedy w jój oczach łezki dojrzałem...

Bo przypuszczałem, że smutek rzewny,  
Rozlany na jój anielskiej twarzy,  
Wyplynał z serca i siadł na straży,  
Tak przeczuwałem, nie będąc pewny.  
I sam już nie wiem, jak się to stało,



Że zapytałem drżący, nieśmiało,  
Co jest jój smutku dziwną przyczyną?  
I czemu lezki po twarzy płyną?  
Na to odrzekła smutnymi słowy:  
Że nie ma świeżej sukni balowój...

Chociaż wyrazy te obojętne  
Upadły szronem, co serce ziębi,  
Ale jój oczy mówiły smętne,  
Że się myśl inna kryje gdzieś głębiój.  
Więc pomyślałem, żem był za śmiały,  
I chcąc zlagodzić moję zuchwałość,  
Balowój sukni chwaliłem białość,  
W którą się stroi krzak róży białój,  
Chwaliłem ciernie, które jój bronią  
Przed zbyt natrętną ciekawych dłonią.

Jednak już potém częściej myśl płocha  
Traçała skrzydłem w błękit mych marzeń,  
I z różnych rozmów, sprzeczek i zdarzeń  
Stawiałem wnioski: kocha? nie kocha?  
I z tém pytaniem, jak Hamlet nowy,  
Chodziłem długo w ranek majowy;  
A kwiaty wonią, drzewa szelestem

Odpowiadały: Kocham i jestem!  
Nim powtórzyłem setne pytanie —  
Wybiegła wołać mnie na śniadanie.

Różowa ze snu, w słońcu przejrzysta,  
Stała przedemną jasna i czysta;  
Zamiast brylantów na złote włosy  
Jaśminy kładły kropelki rosy:  
I tak oblana światła potokiem  
Jeszcze mnie swoim paliła wzrokiem,  
A ja zmieszany mówiłem do niéj  
O drzew szeleście i kwiatów woni,  
Lecz ją znudziła moja rozprawa,  
Bo rzekła: „Chodź pan, wystygnie kawa.“

Oj! oj! figlarko — myślałem z cicha,  
Nie chcesz mnie słuchać na głos i  
[w oczy,  
Za to twój uśmiech mówi uroczy  
I pierś, co mocniéj teraz oddycha.  
Nie chcesz mnie słuchać, bo w serca  
[drzeniu  
Czujesz, że staniesz cała w płomieniu,  
Gdy ci wypowiem z schyloną twarzą

Słowa, co w ustach moich się ważą —  
Wtém ona, widząc, żem zadumany,  
Rzecz: „Pan jesteś dziś niewyspany.“

I tak mię nieraz mała psotnica  
Zbijała z toru krótkimi słowy ;  
Jam się w anielskie wpatrywał lica  
I w usta pełne niemój wymowy,  
I myśl czytałem, co z oczu strzela,  
A serca mego tamując bicie,  
Czułem, że nic nas już nie przedziela ..  
Że toniem razem w marzeń błękanie  
Lecz gdy się tylko spojrzałem tkliwiój,  
Pytała: „Czemu pan się tak krzywi?“

Raz, ach! powziąłem myśl dosyć śmiałą  
Ukraść jój z album karteczkę białą,  
I na niój wszystko wypisać szczerze,  
Co mnie ochota powiedzieć bierze.  
A więc ubrałem w urocze farby  
Całą jój postać, czystą, powiewną,  
I wysypałem końcówek skarby,  
By miłość moję uczynić śpiewną ;

Słowem, jak młody poeta liryk,  
Wpisałem wierszem jój panegiryk.

Gdy to odkryła, chciałem uciekać,  
Ale przemogła trwogę ciekawość,  
I już wolałem przy niój zaczekać,  
Śledząc na twarzy wrażeń jaskrawość;  
Ona czytała uważnie, zwolna,  
Głębokich wzruszeń ukryć nie zdolna;  
A gdy zdumienie minęło pierwsze —  
Rzekła: „Pan także pisuje wiersze?  
Szkoda, że kartkę odjąć wypadnie,  
Bo pan tak pisze krzywo, nieładnie!“

Zrazu to nieco mnie zabolalo,  
Że mnie tak zbyła lekko, złośliwie,  
Ale myślałem: Ja się nie dziwię,  
Że moje wiersze ceni tak mało:  
Ona! to jeden poemat cały,  
A moje wiersze pełne wyrazów,  
Pustych i ciemnych mglistych obrazów,  
Które w jój oczu blasku stopniały...  
Nie umiem oddać tego, co roję;  
Ona piękniejsza, niż wiersze moje!

I coraz bardziej i coraz więcej  
O jej prostocie myśląc dziecięcój,  
Pytałem siebie, czy jestem godny  
Takiój miłości czystój, łagodnej?  
Lecz czułem tylko, że byłbym dla niej  
Gotów me życie poświęcić w dani,  
I byłbym rzucił wszystko, gdy trzeba,  
I poszedł za nią prosto do nieba,  
I byłbym za nią poszedł do piekła...  
Gdyby nie była z drugim uciekła...

*Asnyk.*

### INTERMEZZO.

Do fatalnej raz przyszło sprzeczki mię-  
[dzy nami,  
Rozstajem się — rzecz prosta — nie ma  
[innój rady!  
Ja wszereż po saloniku biegam mocno  
[blady,  
Ona, wzdłuż chodząc po nim, zalewa się  
[łzami!  
„O! jakże ja się strasznie zawiodłam na  
[tobie!“

„Ha, samaś tego chciała!“ — Tak są-  
[dzisz?“ „Tak sądzę.“

„Słowem — rozdzielmy zgodnie między  
[strony obie  
Wszystko: bieliznę, meble, pościel i pie-  
[niądze,  
I niechaj każdy potém, za wspólną ugodą,  
Rusza gdzieś w świat szeroki, gdzie oczy  
[powiodą.

Do dzieła więc. „To twoje — prawda? —  
[a to moje.

Stół tobie, a mnie...“ — „Lampa, co stoi  
[na stole.“

„Dywan tobie.“ — „Dziękuję, chłodu  
[się nie boję.“

„Weź go jednak, weź, proszę.“ — „Co  
innego wolę“...

Szafa jedna, no, chyba dzielić się nie  
[warto?“

„Któż winien?“ — „Widzisz, jak to źle,  
[iż nie ma drugiej.“

„Bierz ją!.. ja wezmę sofkę.“ „Co, taką  
[obdartą?“

„Już ty się nie troszcz, biorę w przy-  
[datku sztalugi.“

Takeśmy zlustrowali, dzieląc jak naj-  
[prościéj,

Od strychu do piwnicy wszystkie ru-  
[chomości.

Wtedy ona na chwilę wybiegłszy z po-  
[koju,

Wróciła, niosąc w ręku rodzinne klej-  
[noty :

Kóleczyki turkusowe od wielkiego  
[stroju,

Takaż broszkę, porte-bonheur i zegarek  
[złoty.

„Oto zwracam ci — rzekła — podarunki  
[twoje.

„Nic nie chcę mieć twojego, dziś gdy...“  
[Łzy jéj mowę

Przerwały i milczący staliśmy oboje  
Długą chwilę. Lecz pierwszy ja po-  
[dniosłem głowę :

„Kiedy tak, to ja także dłużny ci coś  
[jestem!“

I ślubną mą obrączkę z habdankowskim  
[gestem  
Rzuciłem na stół między kosztowne  
[błyskotki.

Bolesna była chwila, ciężka do prze-  
[bycia !  
Nie zapomnę spojrzenia wtedy méj pie-  
[szczotki,  
(Której zawdzięczam przecie całe szczę-  
[ście życia)  
I tych jój biędnych, drżących nerwowo  
[usteczek,  
Z których żadne nie padło słówko  
[rozżalenia...  
Czułem, że i mnie w oczach stoją łzy.  
[„Bez sprzeczek !  
Krzyknąłem, i dotknąwszy lekko jój  
[ramienia :  
„Pani — dodałem — trzeba przykrą  
[chwilę skrócić ;  
Musimy jeszcze sobie... pocałunki  
[zwrócić !



„Słuszne żądanie, prawda: każda wła-  
[sność święta“.

Przystąpiła więc, westchnawszy. „Tylko  
[właśnie bieda,

Iż taki dług zbyt ściśle obliczyć się  
[nie da“.

„Pamięta może pani?“ — „A pan czy  
[pamięta?“

„Nie“ — „Liczymy więc: półtora roku —  
[dziennie ile?“

„Dwa razy?“ „Trzy, powiedzmy, niech  
[pan nic nie traci.“

„Przeto razem... tysiąc sto, jeśli się nie  
[myślę —

„I przystąpmy niezwłocznie do téj li-  
[kwidacyi...“

Lecz zanim do téj cyfry doszliśmy po-  
[łowy,

O żadnej separacyi nie było już mowy.

*Czesław.*

WYZNANIE.

W ogrodzie stali — maliny rwali ;  
Ale na siebie spojrzeć się bali —  
A było ich dwoje : on — ona —  
Panienka była zarumieniona,  
I w rzęs jedwabnych ponętne cienie  
Kryła błękitnych oczek spojrzenie. —  
A szkoda, bom miał zapal najszczerzy  
Piścić o oczkach tych kilka wierszy ;  
Bo choć spuszczone skromnie, nieśmieie,  
Miały te oczka dowcipu wiele,  
I czaiły się pod rzęs namiotem,  
Niby figlarne kotki za płotem.

Była w sukience lekkiej, różowej...  
Malin gałązki ją do połowy  
Skryły, a jedna gałązka mała  
W bieluchną szyjkę ją całowała.  
Młody zazdrosnym był oczywiście  
Patrząc, co z panną robiły liście,  
I na myśl przyszła piosnka w potrzebie :  
„Gdybym ja mógł być gwiazdką na  
[niebie !..“

W piosence zrobił tę zmianę ino,  
Że zamiast gwiazdką, chciał być maliną,  
I westchnął. — Panna spojrzała ładnie,  
„Za czém?” spytała. — „Niech pani  
[zgadnie?”

„Jak to wygląda?” „Jak anioł będzie —  
Tylko mu skrzydła przypiąć labędzie,  
Wiotkie, powiewne, dowcipne, zgrabne,  
W śmiechu rozkoszne, w smutku po-  
[wabne...

Nie dałbym tego za skarby żadne.“ —

Wstrząsnęła główką. — „Nie, nie od-  
[gadnę...

„A gdzież to bywa?” „W okienku rada,  
Jak w wazoniku różyczka siada,  
A wtedy okno w dziwnym jest blasku...  
A poznałem to w bielańskim lasku  
W majowe rano — biało ubraną,  
I tak wydała mi się nadobna,  
Że mi żyć bez niej już niepodobna“.

Mówił wzruszony — krew biła w lica;  
Rączką maliny skubie dziewica.

I rumieńczykiem twarz jój rozkwita —  
„A jak na imię temu?” — zapyta.

„Dziwne to imię, czarów w niém dużo,  
Dwie pary liter, jak dwa bliźniętka —  
Czytaj od końca, lub od początku  
Jedno ci imię powtórzą”. —

Panienska na to nie odrzekła;  
Lecz zrozumiała — bo raczka spiekła...  
I między malin liście się skryła,  
I sama jako malina była.

Ta jój nieśmiałość śmiałym go czyni,  
Że się odważył u stóp bogini  
Kłęknać; — lecz lokaj popsuł mu rolę,  
Wszedł — i powiedział: waza na stole.

*Michał Bałucki.*

### BAJKA.

(Wyjątek).

Było sobie niegdyś w szkole  
Piękne dziecię, zwał się Janek.

Czuł zawczasu bożą wolę,  
Ze starymi suszył dzbanek.  
Dobry z niego byłby wiarus,  
Bo w literach nie czuł smaku ;  
Co dzień stary Bakalarus  
Łamał wierzby na biédaku,  
A po setnej, setnej próbie  
Rzekł do matki ; Oj, kobiéto !  
Twego Janka w ciemę bito,  
Nic nie wbito — weź go sobie !  
Biédna matka wzięła Jana,  
Szła po radę do plebana.  
Przed plebanem w płacz na nowo :  
A księżulo słuchał skargi,  
Po ojcowsku rzucał głową.  
Wysłuchawszy pacierz złego :  
„Patrz mi w oczy“, rzekł do żaka :  
„Nic dobrego ! nic dobrego !“  
Potem hożą twarz pogładził,  
Dał opłatek i piątaka,  
I do szewca oddać radził.

Jak poradził, tak matczysko  
I zrobiło. — Szewc był blisko !

Lecz Jankowi nie do smaku,  
Przy szewieckiej ślipiac igle.  
Dyabeł mieszał żółc w biédaku  
Śniły mu się dziwy, figle ;  
Zwyciężyła wileza cnota,  
Rzekł : w świat pójdę o piątku!  
A więc tak jak był — hołota,  
Przed terminem rzuci szewca ,  
I na strudze do Królewca

Popłynął —

Jak do wody wpadł i zginął.

Matka w płacz, łamała dłonie ;  
A ksiądz pleban na odpuszcie  
Przeciw dziatkom i rozpuszcie  
Grzmiał jak piorun na ambonie.  
W końcu dodał — Bogobojna  
Trzódko moja, bądź spokojna,  
Co ma wisieć, nie utonie.

Mały Janek gdzie się się chował  
Przez rok cały, zgadnąć trudno,  
Wsiadł na okręt i żeglował,  
I na jakaś wyspę ludną

Przy płynąwszy — wylądował.  
Owdzie król przechodził drogą.  
Jaś pokłonił się królowi  
I dworzanom i ludowi,  
A kłaniając, szastał nogą  
Tak układnie, że król stary  
Włożył na nos okulary.  
I wnet tymże samym torem  
Dwór za królem, lud za dworem,  
Powkładali szkła na oczy. —  
Owóż król ten posiadał sławę,  
Jakoby miał wzrok proroczy;  
I choć stracił oko prawe,  
Tak kunsztownie lewém władał,  
Że człowieka zaraz zbadal,  
Na co mierzy, na co zdatny;  
Czy zeń ma być rządca kraju,  
Czy podstoli, czy też szatny —  
Lecz tą razą, wbrew zwyczajowi,  
Król pan oczom nie dowierza,  
Czy żak Janek na tancerza?  
Czy na rządcę dobry kraju?  
Więc zapytał: „Mój kochanku,

Jak masz imię?

Janek.

Janku

Co ty umiesz?

Psom szyć buty.

A czy dobrze?

Oj tatulu!

Czyli raczej panie królu!

Jak szacuję, ręczyć mogę,

Że but każdy ostro kuty,

I na jedną zrobię nogę,

● Czyli raczej na łap dwoje —

To na zimę. — Z letnich czasów

But o jednym szwie wystroję,

Na opłatku, bez obcasów,

A robota takiej wiary,

Że psy puszczaż na moczary,

Suchą nogą przejdą stawy. —

Masz więc służbę, złotem płacę,

Rzekł do Janka pan łaskawy,

I za sobą wiódł w pałace.

A gdy dzień zaświtał czwarty,

Szły na łowy w butach charty;



A szewc chartów w axamicie  
Przy królewskiej jechał świcie;

. . . . .  
. . . . .

*Juliusz Słowacki.*

### JAGODA.

Po brzozowym cichym lesie  
Idzie dziewczę, dzbanek niesie,  
Niesie dzbanek z jagodami,  
Z jagodami, borówkami.  
A dla Boga, co się dzieje?  
Kto się śmieje? las się śmieje —  
Kłaniają się przed nią drzewa —  
Ona śpiewa i las śpiewa.  
Więc przystanie, dech zatrzyma,  
Patrzy wkoło i nic nie ma.

Dzięcioł, co ma dzióbek spory,  
Przysiadzie się też do kory,  
A wiwilga coraz świśnie —  
Gęstwa, ledwie się przecisnie. —  
Z pod jałowca zajac skoczy

Z otwartymi śpiący oczy.  
Mój zającu, nie bój że się,  
Ja borówki zbieram w lesie,  
A toż ja ci nie przeszkodzę,  
Że ze dzbankiem sobie chodzę ;  
Gdyś był nie uciekł z chrusty,  
Dałabym ci liść kapusty,  
Jak królikom, kiedy z jamki  
Wyjdą z rana stare samki,  
A za nimi ich przychowek  
Powymyka się z kryjówek ;  
Stara matka uchem strząśnie,  
Przybliży się, liścia kąśnie,  
I powoli się oswoją,  
Że i burka się nie boją.

Już powiadam, że uciecha...  
Oj, frunęło coś z orzecha,  
Z czubka drzewa, co się chwieje,  
Choć najmniejszy wiatr nie wieje.

Coś zalata, coś ci słyhać,  
Że aż chce się piersiom dychać.  
Nocą spadły świeże deszcze,

Bo się krople świecą jeszcze,  
A na wrzosie, co mię moczy,  
Jak perełki stoją oczy.

Jagódeczka — pójdź do dzbana,  
Moja, moja, dana, dana.

(śpiewa).

Miała matka dwie sieroty,  
Chłopiec starszy, siedmiolatek,  
Jak aniołek jaki złoty,  
Co otwiera drzwi do chatek.  
W koszulinie, zawsze bosy,  
Przepasany wąską krajką,  
Opalony, białe włosy,  
Bóg wie, gdzieby biegł za bajką. --  
A dziewczyna, jakby fryga,  
Nigdzie miejsca nie zagrzała;  
O! śpiewała, o! biegła,  
Tylko że się w oczach miga.  
Dobrze tym, co mają matkę,  
Miłe życie, czas wesoly.  
Lecz gdy zajdzie wóz przed chatkę  
Zaprzeżony w siwe woły  
I kościelny dziadek stary

Od dzwonicy linę chwyci,  
Za cmentarzem dzionek szary  
Smutną zorzą się rozświeci,  
I krzyżyków tyle, tyle,  
Pokaże się z poza płoty,  
I sieroty na mogile...  
Były we wsi dwie sieroty.

. . . . .  
Jak zalata boże ziółko...  
Gdzie tak śpieszno, pani pszczołko?  
Już za sosną, już za górką,  
Przyjdiesz do mnie na podwórko.  
Jak mateńka miód wysyci,  
To się przecie coś zachwyci.

Danaż moja, dana, dana,  
Gdybym była poszła z rana,  
Kiedy świat był w cieniu grubym,  
To już byłby dzbanek z czubem.  
Już południe, słyhać dzwonki,  
Stary pastuch spędza z łąki.  
To pawłowa — to graniata,  
Co kołatką tak kołata;  
A to nasza krówka goni,

Co jój dzwonek cienko dzwoni,  
I od gaja aż do gaja  
Rozlega się ryk buhaja ;  
Jak zobaczy cudze chłopię,  
Zaraz staje, ziemię kopie...  
A burek go łap za nogę,  
Nie przestępuj ludziom drogę.  
Dobre psisko nie napada  
Na starego ze wsi dziada,  
Ale za to jak usłyszy:  
Pójdź tu, burek, myszy, myszy,  
Toż pod siebie ziemię spycha,  
Kopie, kopie, potem kicha.  
Coraz dalej dzwonki dzwonią,  
A brzęk leci równą błonią.  
(śpiewa).

Pożegnała siostra brata,  
Pożegnała tymi słowy :  
Kiedy idziesz na kraj świata,  
Mój braciszku, bywaj zdrowy.  
Jak będziesz za siódmą rzeką,  
Jak ci zgłuchną wiejskie dzwony,  
Albo ja wiem, jak daleko,  
Obejrzyj się w nasze strony.

Gdzie nad chatą rozwaloną,  
Nad kominem, het wysoko,  
Takie nieba jasne lono,  
Jak nieboszczki matki oko.  
Nie oglądaj się na czleka,  
Ni na swoich, co już w grobie,  
Ale, bracie, wspomnij sobie,  
Że cię nasze niebo czeka.  
Rosną wierzby nad wodami,  
Nad zieloną pochyłością,  
Kto pożegnał się ze łzami,  
Ten powita się z radością.  
Bywaj zdrowy, bywaj zdrowa,  
Smutno świeci zachód złoty,  
Długa żalność, krótkie słowa,  
Żegnały się dwie sieroty.

. . . . .  
Danaż moja, dana, dana,  
Jagódeczko, pójdź do dzbana,  
Jakoś idzie mi powoli,  
A tu trzeba kupić soli.

Latoć było co niemiara,  
Dziwiła się matka stara,

Że jak tylko w gaik wpadnę,  
Wnet borówki niosę ładne.  
A ja wcale się nie silę,  
Wszędzie pełno, gdzie się schyle,  
Rumienią się wkoło przy mnie:  
Weźże i mnie, weźże i mnie;  
I ja świeża, i ja świeża;  
I już dzbanek po wybrzeża.  
Zjédz mię, zjédz mię, bo ja słodka;  
A ja kładnę do kozubka,  
Tyś dla matki, moja lubka.

Ja dziewczyna nie łakoma,  
Dadzą mi, jak wrócę doma.  
A dziś chodzę dzionek cały,  
Czyżby ptaszki wydziobały?  
Oj, wy ptaszki nienasyte,  
Widzę ja was, choć ukryte.  
Dziwuje się, kręci główką,  
Nie pocieszysz się borówką —  
Otóż widzisz, że nie twoja,  
Tylko boska, potém moja.  
Danaż moja, dana, dana,  
Jagódeczko, pójdź do dzbana,

(śpiewa).

Płyną wody za wodami,  
I z gałązek liść oblata  
Sierotęńka za górami  
Przewędrował kraje świata.  
A chociaż mu nie zbywało  
Ani soli, ani chleba —  
Ale wszystko to zamało,  
Bo swojego nie miał nieba...  
I napisał liścik drobny,  
Złotooczném piórkiem pawia,  
Ale taki niepodobny,  
Że co słowo, to zakrwawia.  
Niby nic mu nie potrzeba  
Nad wodami, nad cudzemi,  
Ale chciałby krzynekę nieba  
I wietrzyka z swojej ziemi.  
Wzięła siostra liść kaliny,  
Napisała mało-wiele :  
Tyś braciszek, tyś jedyny,  
Tyś mi anioł w ludzkim ciele.  
I co przyszło jój do głowy,  
Wypisała wszystko na nim,



Teraz, wietrze, cichém wianiem  
Zanieś listek kalinowy.

Przeleciałam kawał lasu,  
Zarosiłam się do pasu,  
Trzeba wracać, bywaj zdrowy,  
Mój gaiku brzeziny.

Spiesz dziewczę drogą z lasku,  
Dobrze nogom w ciepłym piasku  
A wciąż jedną nutę nuci,  
Czyż jój piosnka nie porzuci?  
Nie porzuci — trudna rada,  
Z wschodnim wiatrem na nią spada,  
Między myśli jój się płacze :  
Skończ mnie, skończ mnie, — nie,  
[nie skończę.

(śpiewa).

Miała matka dwie sieroty,  
Chłopiec starszy, siedmiolatek...

Cicho, piosnko, dosyć psoty...

Najciekawszy był ostatek,

Coś o koniu, o szabelce,  
Najpiękniejszy koniec dzieła ;  
Ja sam ciekaw byłem wielce,  
Lecz dziewczyna się zawzięła  
I ustami różanemi  
Szeptala, jak woda zdroja,  
Cichy pacierz: „Wola Twoja  
Jak na niebie, tak na ziemi“.

*Teofil Lenartowicz.*

#### NA ZGON POEZYI.

Nie! nie umarła, jak to próżno gloszą,  
Ta jasna krain pani i królowa,  
Co serca ludzkie napawa rozkoszą;  
Żaden jój grabarz pod ziemię nie schowa,  
Nie stłumi natchnień, które pierś jój  
[wznoszą,  
Nie skazi wdzięku cudownego słowa:  
Bo nim ją w piasku mogilnym pogrzebie,  
Już z nową jutrznią zabłyśnie na niebie.

Ci, którzy mówią ciągle o jój zgonie,  
Czyliż nie wiedzą, że ma żywot wieczny

W piersiach ludzkości i w natury łonie ?  
Że się odnawia w jasności słonecznej,  
W ogniu młodości, co wieczyście płonie,  
I czarodziejsko w jeden węzeł splota  
Marzenia ludzi z pięknościami świata ?

Czyliż nie widzą, że ona jest  
[wszędzie

Rozlana w całej błękitów przestrzeni,  
Że ciemnych jaskiń przenika krawędzie,  
I świeżym liściem w gruzach się zieleni.  
A choć zużyte porzuci narzędzie,  
Choć dawne swoje koryto odmieni,  
To w nowych myślach, uczuciach lub  
[czynię,  
Naprzód z wezbranym prądem życia  
[płynie.

Na cóż więc trwoga o jój przyszłe  
[losy ?

Czyliż zabraknie wiosennych błękitów ?  
Czyliż zabraknie téż ożywczej rosy,  
Snów bohaterских, miłosnych za-  
[chwytów ?

Czyliż ucichną tajemnicze głosy  
Stłumionych pragnień i rozpaczy  
[zgrzytów?

I czyliż wszystko w nicość się rozwieje,  
Co żywi całych pokoleń nadzieje?

Nie! nie nie zginie z uczuć przedzy  
[złotój,  
Choć wzór powolnej ulegnie przemianie;  
Zawsze tak samo młodych skrzydeł loty  
Wzbijać się będą nad ziemne otchłanie,  
Zawsze te same słowicze tęsknoty,  
I żądza szczęścia ta sama zostanie,  
I sercom ludzkim śpiewną da wymowę,  
Dźwięki tak znane a tak wiecznie nowe.

Niewczesne wasze żale, o wróż-  
[kowie,  
Co nieśmiertelnej śmierć wróżycie  
[pewną;  
Ona się w martwem nie zamyka słowie,  
Nie jest zamknięta w marmur ani  
[w drewno,

Lecz ma sklepienie niebios za wez-  
[głowie,  
A na usługi sfer harmonię śpiewną,  
I rządzi z góry sercem niewolnika —  
Jak chce, zstępuje — i kiedy chce, znika.

Ona żyć będzie, choć jój oddźwięk  
[zgłuchnie  
W lutniach śpiewaków i sercach słu-  
[chaczy;  
Ona w grobowém przechowa się próchnie,  
Przetrwa mrok zwątpień i burzę roz-  
[paczy,  
I świeżym ogniem w przyszłości wy-  
[buchnie;  
I znowu świat ją schodzącą zobaczy  
Biorącą berło, by rządzić wszech-  
[władnie,  
I znów z miłością do nóg jój upadnie.

Ta trumna, którą do grobu skła-  
[dacie,  
Zawiera tylko kształt jój już prze-  
[żyty,

Uwiędłe kwiaty na jój ślubnej szacie,  
Woń znikająca, lutni dźwięk rozbity.  
Wolno wam płakać po kochanki stracie,  
Co w was młodzieńcze budziła za-  
[chwyty,  
Ale nie wolno orzekać — że ona  
Dla serca ludzi na zawsze stracona.

Wy się nie troszczcie o nią —  
[o wróżbici!  
Bo ona w piasku mogilnym nie leży,  
Lecz dawnych marzeń potargane nici  
Przerabia w ciszy na strój inny,  
[świeży,  
Którym znów serce stęsknione za-  
[chwyci  
Nowych kochanków i nowych rycerzy.  
Nie płaczcie nad nią — bo ona  
[w obłoku  
Na chwilę tylko uszła ludzi wzroku. —

*Asnyk.*

UŁOMEK Z GŁOSY ŚW. TERESY.

Przed życiem czuję — nie przed śmier-  
[cią — trwozę —  
Bo takie światy widzę tam przed sobą,  
Że mi ten ziemski — grobową żałobą  
I tém umieram — że umrzeć nie mogę!

Umrzeć lub cierpieć! — a cierpieć bez  
[miary!  
Bo mnie się z Tobą trza zlać w Two-  
[jém niebie,  
Lub gdy nie można — żyć w piekle  
[dla Ciebie!

Ślij mi więc męki jak niebieskie dary!  
Im sroższe będą, tém mi więcej błogie.  
Ja przed spokojem tylko czuję trwozę  
I tém umieram, że umrzeć nie mogę!  
Jedynéj ulgi na moje męczarnie,  
— A jedna tylko i Śmierć się nazywa —  
Śmierci dać sobie nie zdołam bezkarnie!  
O bardzom, Panie, bardzom nieszczę-  
[śliwa!

Tę jedną szczęściu Tyś zamknął mi  
[drogę  
I tém umieram, że umrzeć nie mogę!

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu,  
Lecz Ty nie raczysz długo ze mną zostać;  
Wnet niknie bożo - człowiecza Twa  
[postać

I w gorszém jeszcze konam znicie-  
[stwierzeniu!

Przed chwilą byłam w wieczności  
[rozlana —

— Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —

Ty, Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały  
A ze mnie małej wyrastał Bóg cały!  
Tyś się zamykał w mém sercu jak  
[w grobie —

— Jam się jak Bezmiar szerzyła ku  
[Tobie!

Przez nieskończonej łaski zezwolenie  
Stwórcy przechodził na chwilę w stwo-  
[rzenie —

Stworzenie - w Stwórcę, przez jedno  
[westchnienie.



Mnie już tak było jakby po pogrzebie —  
Bez ciała byłam na ziemi i niebie.

Na wieki z Tobą — przy Tobie —  
[u Ciebie!

W twarz Ci patrzyłam — ale nie  
[oczyrna, —

Bo na to wzroku ócz śmiertelnych  
[nie ma.

Głos Twój słyszałam — lecz nie ziem-  
[skim słuchem —

Wszystkom widziałam i słyszałam, duchem !  
A jednak, Panie, Tyś jaśniał przedemną

Jakby słońce słońce, w którym kształt  
[człowieka!

Ach! światło dzienne nocą wiecznie  
[ciemną

Przy tym promieniu, co z Twych skroni  
[ścieka.

— Choć nie cielesny — widomszy niż  
[ciało —

I słowo każde, co z ust Twych spły-  
[wało

Dźwiękiem dźwięczniejszym, niż dźwięk  
[ssan przez uszy,

Niebrzmiące, brzmiało jak pieśń w mojej  
[duszy!

I byłam z Tobą — oglądałam Ciebie —  
Nie ukrytego w przenajświętszym Chlebie,  
Nie tajonego przesłonami Cudu —

Lecz jakim bywasz wśród aniołów ludu,  
Tam gdzie nad światem królujesz  
[z Świętymi!

Takim Cię — takim — tu miałam na  
[ziemi!

— Lepiej od Świętych widziałam Cię,  
[Panie!

Bo silniej kocham, goręcej niż Oni!  
— Już w domu wiecznym Tyś dał im  
[mieszkanie —

A ja gdzie mieszkam? — co mnie  
[strzeże, broni?

Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpacz —  
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie  
[znaczy?

Im bardziej tęsknię, tém kocham go-  
[ręcej,

Im więcej męki, tém miłości więcej  
W tém piekle bożem bożego kochania,

Gdzie Twa obecność mnie nawet roz-  
[rania —

Bo chwilę później Tyś znowu daleki,  
I nim powracasz, upływają wieki!

Bez Boga mego — a z Boga wspo-  
[mnieniem

Leżę na ziemi grobowym kamieniem —  
A pod tym głazem méj niewzruszoności

Smutek przejada do szpiku me kości!

Żądam bez miary — miłuję bez granic —

Miłość i żądza nie zdały się na nic —

Zmienionam cała w jedno upragnienie,

Lecz Twojej woli w tych chwilach nie  
[zmienię!

Pan nieśmiertelny niech zstąpi do sługi,

Aż kiedyś —kiedyś — znowu po raz drugi!

I mimo Twoję, o Ty mój, przestroję

Ja tém umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy,

Że Ciebie kocham za przyszłe nagrody,

Za obiecane w królestwie Twém gody,

Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy,

Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,

Którabyś spłacił mi dni mych utratę?

Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczę-

[śliwy!

Że przebolełaś tu wszystko, co boli,

Że zniosłaś wszystko, co tylko poniża,

Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,

Ty Bóg, przez katów prowadzon do

[krzyża!

Ja Ciebie kocham — że Cię o téj chwili

Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!

Ja Ciebie kocham — żeś był przymu-

[szony

Wolać do Ojca: „O jam opuszczony“ —

Ja Ciebie kocham za Twoje konanie,

I za śmierć więcej, niż za zmartwych-

[wstanie!

Bo mi się zdaje, że Ty zmartwych-

[wstały

Nie tyle biédnej potrzebujesz sługi, —

Już wtedy służy Ci twój wszechświat

[cały —

Stopą powietrzne przelatujesz smugi!

Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie

[zdaje,

Że wracam duchem w widziane już kraje,  
Że oglądałam już wprzód to wzgórze  
I krzyż ten, zboczony w krwi Twojej

[purpurze!

Że Magdalena, ta święta, Twa miła,  
Co tam tak jęczy — to ja chyba była!  
Bo w sercu mojem jej serce mi płacze,  
Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy

[jej oka,

I rozpacz moja, tak straszna — głę-

[boka —

Że być nie mogą dwie takie rozpacz! —  
Nie — ona Ciebie więcej nie kochała —  
Ja wiem, że ona wielka, a ja mała,  
Bom mniej czynami tobie zasłużona —  
Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!  
Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?  
Jakżeż rozdzielić sądem Salomona  
Tę jedną miłość między te dwa łona?

— Bo dwóch miłości być takich nie

[nie może!

— Nie — Ciebie więcej nie kochała ona  
Raz tylko w życiu na Golgoockim pyle

Leżała w płaczu, krwią Twoją zroszona,  
Raz jeden tylko — a ja razy tyle! —  
Bo co noc prawie dla mnie się od-

[twarza

Kalwaryjskiego przytomność cmen-

[tarza

I z po za wieków upłynionych tyła  
Wraca ta do mnie zobecniona chwila,  
W której śród Niebios i ziemi zaćmienia  
Zmarł Wszechstworzyciel w obec wszech-

[stworzenia!

Aż padnie z zorzą pierwszy promień

[dzienny,

Widuję w celi téj krzyż Twój mę-

[czenny

I na tém drzewie oglądam Twe ciało  
Ostatkiem światła jeszcze tłące biało,  
Gdy wszystko w okół, jak w grobie,

[zczerniało!

Ty i ja, Panie — nikt więcej — my

[sami

Tak bliscy siebie — a tak rozdzieleni,

Bo ja tu w dole pod Twymi stopami

A Ty nademną, w téj strasznój prze-  
[strzeni,  
Do kłód tych z cedru przybity gwo-  
[ździami!  
Zrazu ja klęczę w milczeniu — a cała  
Drgająca ciałem od mąk Twego ciała —  
Kolcują w skroniach mi kolce Twych  
[skroni,  
Rwą mnie w mych dłoniach żelaza  
[Twych dłoni —  
W boku mnie szarpie, boku twego rana  
I choć tum w dole, takem z Toba zлана,  
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!  
*Zygmunt Krasiński.*

#### SCLAVUS SALTANS.

**M**aro swych gości po uczcie prowadzi,  
Gdzie zakupieni wczora niewolnicy  
Na zgniłej słomie półnadzy i bladzi  
Wypoczywają zamknięci w piwnicy.  
Maro — to znawca! on swoje obole  
Wie na co wydać, krwi dobrej zna cenę :  
Jak Amor każde u niego pachole,

A mąż — gladiator! choć dzisiaj w arenę.

Ot, pierwszy: Numid, nabytek wspa-

[niały!

Tors, jakby z bronzu, a włos, jak lwie

[grzywy.

Rzut oka, zda się, przekuć można

[w strzały,

Nerwy drgające wyciągnąć w cięciwy!

Przepyszny towar! Gdy Maro go nogą

Kopnął, wołając: „wstań, bydlę!“ twarz

[dzika

Splonęła jakąś ognistą pożogą,

I ryknął wściekle: „nie budź niewolnika!“

Co za głos! wstrząsła się podziemna

[cisza...

Lentulus w strachu zgubił wieniec róży...

Wielcy bogowie!.. Na brodę Jowisza,

Zda się, jak gdyby wołał: „nie budź

[burzy!“

Słysząc, jak kędyś powstaje bezwładnie

Pomsta, co kiedyś nad światem zapadnie,

Warezącą przepaść zgrozy słysząc zdala...

Drżycie! to Romę niewolnik obala!

Oto powstają wraz z klatwy téj echem



Gromy strasznego stuleciom wybuchu...

Goście pobledli, a Maro z uśmiechem

Rzekł: „Przez Hercula! wszak on na

[łańcuchu!“

Lecz biesiadnicy cofnęli się żywo...

Maro ich tedy ku innéj wiódł stronie,

Gdzie, jak łuk zgięty w pyszną linię

[krzywą,

Stał Grek młodzieńczy, ukrywszy twarz

[w dłonie,

I płakał. Biada, kto płacze w niewoli!

Łza, jak rdza, męską moc ducha prze-

[jada...

Kto w więzach słabnie, jest godzien

[swój doli...

Rozpaczającym niewolnikom — biada!

On rodzinnego nie ujrzy już nieba,

Ni na igrzysku nie chwyci w lot dzidy,

Rzuconéj ręką gibkiego efeba...

Łańcuch rwą tylko lwy, albo Numidy!

Łzy — to zbyt wiele i lzy — to zbyt

[mało.

Goście milczeli; z zapalem artysty

Wskazywał Maro, jak piękne to ciało

Określa kontur pogodny i czysty.  
Wtém z boku nuta wesola dolata...  
To „sclavus saltans“, Słowianin w pół  
[dziki,  
Wszędy mu dobrze — i wszędy mu  
[chata,  
Byle miał płasy i trochę muzyki!  
Z młodzieńczej wierzby wyciąwszy ga-  
[łęzi,  
Uczył sobie grające narzędzie,  
Skacząc, zapomniał, że łańcuch go więzi...  
— Och! niewolnikiem ten był, jest i —  
[będzie!

*Marya Konopnicka.*

## GRAF GERO.

### I.

#### Uczta Geronowa.

Pieśń wam zaśpiewam! w pieśni pra-  
[wdę szczerą:  
Był n. Ottona wielki margraf Gero,

Nad pobitymi postawion Słowiany,  
A w każdej sprawie rycerz zawołany.

I miał ten Gero murowany dwór,  
Co wieżycami spinał się do chmur;  
Miał jasną zbroję i stalowy miecz,  
Co w bitwach głowy z karków zmiatał  
[precz;  
I zgraję knechtów na wszelkie rozkazy,  
Krwawych jak wilcy, a zimnych jak głazy.

A pierś Gerona była jako stal!  
Nie znał litości, nie tykał go żal!  
Niech drży podbity — niechaj znosi dań,  
Jeśli mu miła nieprzerznięta krtań!  
Więc już o buntach zaprzestano marzyć,  
Nawet lirnicy nie śmieli się skarżyć.

I była radość pomiędzy Germany,  
Że uległ Słowianin, jak lew okowany.  
W Merzburgu Otto na cesarskim tronie  
Ścisnął margrafa zakrwawione dłonie,  
I poczcił złotym łańcuchem Gerona,  
I kazał nowe podbijać plemiona.

Siadł więc graf Gero w murowanym  
[grodzie  
I śpiewał Panu psalmy o zachodzie :  
I kazał sobie podać wina dzban,  
I pił, marzył, jak go podniósł Pan !  
Ha! nie dość jeszcze, więc zamierzył graf,  
Jakby do Lachów Odrę przebyć wplaw.

A tam, — już długo chowa się z tém  
[w łonie,  
Tam chce Graf usiąść na udzielnym  
[tronie,  
I władnąć berłem po zaborach wzdłuż...  
Marzył — i z rodu króle liczył już.

I o dłoń szorstką sparł brodatą twarz,  
Wtém w róg zagrała przedmurowa straż :  
„Kto?“ „Goniec, Grafie“ — Goniec  
[w drzwiach już stoi,  
Jeno się wieści wypowiedzieć boi.

I drżąc wyjąknął „Grafie, ciężko nieść  
Do Twoich uszu taką srogą wieść :

Patrz! Lach Słowianin, co tak twardo  
[spal,  
Jak głodny niedźwiedź z pazurami wstał ;  
U bożych świątyń porozwalał drzwi,  
I skąpał ręce w Grafa Hajka krwi.

Lecz Graf stał zimny. Choć u gra-  
[nie wróg,  
Nie zbroi knechtów, ani wiernych sług.  
Każe nieść wina, miody i bić woły,  
Każe do uczty stawiać sute stoły :  
Do lackich książąt zaprosiny śle,  
Jakby w najlepsze i przyjazne dnie.  
Czasami tylko ściągnie czarne brwi  
I mruczy pod wąs : „Napiłbym się krwi!“

A ledwie zeszło w trzeciój dobie  
[słońce,  
Od lackich książąt powrócili gońce.  
Gero rad z wieści... Hej! już dzwoni róg,  
Już wchodzą kniazie w Geronowy próg :  
Trzydziestu książąt, szczéra lacka krew,  
Szerokie czola, ciemna w kablak brew.

Otwarte lica, w źrenicach błękity,  
U bioder szable, a na głowach szczyty.

W świątecznej szacie Gero we  
[drzwiach stał,  
Powitał kniaziów — dłoń każdemu dał,  
Czarnego ducha tak ukrył postacią,  
Iżby rzec można, brat wita się z bracią.  
I w dom prowadzi, i wyrządza cześć,  
I każe misy przed kniaziami nieść,  
Prosi, by na bok odłożyli bronie  
I stół zasiedli po obojój stronie.

Ucztują kniazie, w sali rośnie gwar,  
Coraz weselój od pieśni, od czar,  
Coraz serdeczniej; co wychyla dzban,  
Podaje świeży — hojny zamku pan.  
I zapomniało szczere lackie plemię,  
Że cheiwy Gero dybie na ich ziemię;  
Że krew już płynie u Odrzańskich  
[wód,  
Taki graf działał gościnnością cud.  
A Gero wstaje i woła do sług:  
„Niechaj zadzwoni paż. w złocisty róg!

A ja ten puhar wznoszę Wam, knia-  
[ziowie!“

I pełny puhar pił za kniaziów zdrowie.

A gdy pił Gero, paż na rogu grał  
Dziko, jak wichher wiejący wśród skał —  
Na ten głos knechty z morderczém  
[żelazem  
Wpadli i kniaziów otoczyli razem,  
I krępowali sznurami ramiona,  
Cięli im gardła i kluli im łona.

A możny Gero nad trupami stał,  
Uśmiech na ustach, w dłoni puhar miał.  
„Siądźcie za stołem, wołał, bracia moi!  
Gero się buntu wyrzniętych nie boi!“  
I wnet ze sali każdy smętny trup  
Poszedł za okop sokołom na łup.

Sokoły niosły wieść na lackie pola,  
Że wodzów taka spotkała tu dola.  
I siadł graf Gero w murowanym grodzie,  
I „de Profundis“ śpiewał o zachodzie,

I kazał sobie podać wina dzban,  
I pił, i marzył, jak go podniósł Pan!

A potem senną głowę spał na łonie  
I o złocistój zamarzył koronie.

Taka to była owa uczta sławna.  
I tak Germany wojowali zdawna.

## II.

### G e r o n a L a c h a c h.

Z chaty do chaty leci wieść,  
Zachodni wiatr ją począł nieść;  
Płacze nią w polach — w możny dwór  
Bije nią jako piorun z chmur,  
Przeraża panów, rycerzy, kmieci —  
Zatrważa starców, matki, dzieci;  
Pomordowanych książąt wdowy  
Ze snu takimi budzi słowy:

— O! płaczcie, wdowy; płakać czas,  
Nie ma już komu bronić was!  
Nie ma już komu bronić grodu,



Ni kmiecój strzechy, ni narodu. —  
Mężowie wasi, wasi kochani,  
W domu Gerona pomordowani.  
I zapłakały wdowy wraz :  
„Nie ma już komu bronić nas !“

A możny Gero syna do się zwie,  
„Sygfrydzie, rzeczce, młody ty mój lwie,  
Trzoda bez stróża łupami dla zwierza,  
Naród bez wodza łupem dla rycerza :  
Wybiłem wodzów z nadodrzańskich  
[stron —  
Waleczny synu — pójdźmy zbierać plon !“  
Tak wyrzekł Gero i na ławie siada,  
Lecz Sygfryd stoi i nie odpowiada.

Więc Gero znowu : „Nasz cesarz  
[i Pan,  
Znany z potęgi a i z łaski znan ;  
Lecz pańska łaska, to szalony koń,  
Dziś mu ta miła, jutro owa błoń.  
Dobrze, gdy pomny Pan swojej cze-  
[ładzi,  
Lepiej, gdy sługa sam o sobie radzi.

— „Dziś ja margrafem, Otto mo-  
[żny król ;

Dla mnież to nie ma na królestwo pół ?

Otto po Łabę — moje państwo dalej —

Synu! Sygfrydzie, będziem królowali,

Prześcigniem samę Ottonową moc.

Zbierz lud, na Słowian wyruszymy w noc.“

A Sygfryd rzecze: „Ojczy, Bóg ukarze ;

Pomordowanych śniły mi się twarze,

Śniły się w nocy w strasznym, wie-

[szczym śnie.

Ojczy, ty zgubisz i siebie i mnie!“

Lecz Gero powstał, zmarszczył

[czarną brew,

I rzecze grożno: „Myślałem, żeś lew,

A ciebie, widzę, trwoży jasna stal —

Młodój ci żony i uścisków żal“.

Więc poszedł Sygfryd zbierać lud do

[wojny,

A Geron usiadł i dumał spokojny.

A gdy na zamek spadła noc,

Stanęła rzedem grafa moc.

Stała licznie po rozkazie,  
Od stóp do głowy lud w żelazie.  
I rzą rumaki, bić gotowe,  
Tylko graf Sygfryd spuścił głowę.  
W oknie go płacze żona młoda,  
Szkoda mu żony, lat mu szkoda.

Lecz Gero skinął — skoczą wraz,  
Od setnych kopyt zagrzmiał głaz,  
Od okna biała  
Chustka powiała,  
Powiała może ostatni raz.

I lecą, palą grody, wsie,  
Do grafa kolan lud się gnie,  
A którzy klęką, już nie powstają;  
Mężów — Gerona knechty ścinają,  
Dziatwę i żony gonią w plon,  
Tak graf buduje sobie tron.

A gdy już w Odrę mieli skoczyć  
[wplaw.

„Sygfrydzie, synu, rzece dumny graf —

<http://rcin.org.pl>

Coś tak posepny — czego stronisz mnie ?  
„Pomordowanych znów widziałem w śnie“.

„Ha — ha ! to dobrze — dobrześ  
[synu śnił,  
Jutro Lach będzie u nóg mi się wil“.  
A Sygfryd rzecze : „Ojcze, Bóg ukarze.  
Pomordowani mieli groźne twarze“.

Lecz graf nie słucha. Spał się pod  
[nim koń —  
Pognał przez pola, skoczył w modrą toń  
Szeregi za nim wśród spienionych fal.  
Dobili brzegu. Gero wznosi stal  
I woła : „Synu ! jutro z Lachem boje —  
Jutro królestwo oddam w ręce twoje“.

Rozbili obóz ; zaszła cicha noc —  
Graf się zadumał, waży swoją moc.  
Sygfryd obchodzi obozowe straże,  
Radby zapomnieć pościny twarze  
I usnąć radby, lecz się lęka śnić.  
Usnęli...

Rankiem zorzy złota nieć

Obiegła mgłami zaciemniony wschód  
I budzi obóz u odrzańskich wód.

„Synu — graf rzecze — czego patrzysz  
[w dal?„

„Patrzę, jak w zorzy błyszczy Lachów stal“

„Gdzie? pokaż? wzrok mój mroczy się  
[od snu“.

„Patrzaj, mój Ojczy, zbliżają się tu“.

„Na koń! graf krzyknął — Lachów  
[książe sam

Do kolan dzisiaj pokłoni się nam!“

I stają męże, Gero stawia szyki,  
Z borów wychodzą lackie wojownicy,  
Oblani zorzą wznoszą jasną broń;  
Piękny — dorodny każdy mąż i koń.  
Mieszko ich wiedzie na hufy Gerona —  
Przy Mieszku z orłem chorągiew czer-  
[wona.

„Naprzód, Syfrydzie! nie długi tu  
[trud!“

Zawołał Gero — i już zwał się lud.

Skruszyli kopje, miecze chwycą wraz,  
W tarczy i w hełmy wiodą silny raz,  
Skruszyli miecze, chwycą za topory;  
Szczęk się rozlega przez pola i bory.

„Ojcie Geronie, ciężka z Lachem

[gra —

Dzielnie Lach walczy — twarde ra-  
[mię ma“.

„Tém większa sława dla nas, synu mój.

Koronę da nam ten rycerski bój!“

I poskoczyli do boju ochoczo,

Pewni, że z Lachów wszystką krew

[wytoczą.

I znowu rzecze Sygfyd: „Tu nam

[kres!“

„Nie — nie, mój synu, Lacha weźmie

[bies“.

I znowu walczą, lecz wtém pęka szyk —

„Sława Mieszkowi“ Lachy wzniesli

[krzyk

I tną Germanów toporami wkoło;

Geró i Sygfyd jeszcze stawia czoło.

Lecz wtém : „Sylfrydzie“ Jęknął  
[graf i zbladł —

Pod ciosem Mieszka młody Sylfryd padł.  
Padł z rozlupaną w pół toporem głową  
I krwi się oblał strugą purpurową.  
O! grafie, jakaż boleść ciebie zgina?  
Inej purpury chciałeś ty dla syna.

I w drżące ręce syna chwycił graf,  
Skoczył do Odry — przebywa ją wpływ :  
Za nim rycerstwo, knechty skoczą w toń,  
Besztę tnie w polu sroga Lachów broń.  
Tak się skończyła wyprawa Gerona,  
Tak go minęły sława i korona.

A kiedy wrócił, zbroję z siebie zdjął,  
Odział się kutą, kij do ręki wziął,  
I szedł w pielgrzymkę, jak uczynił ślub,  
Potém dla syna wymurował grób,  
I wraz z synową klękał na tym grobie,  
I płakał rzewnie, i zlorzeczył sobie.

*Mieczysław Romanowski.*

<http://rcin.org.pl>

DRAPIEŻNE PTASZĘ.

Figlarka, pustotka,  
To groźna, to słodka,  
Drapieżna ptaszyna —  
Dziewczyna.

Żartuje, pustuje,  
Choć kolnie — nie czuje  
I wbija na szpilki  
Motylki.

To smętna, to płocha,  
Czy kocha? — nie kocha?  
Któż od niej się dowie?  
Nie powie!

Niewinna jak dziecię,  
A straszną jest przecie,  
Czy sprzyja? nie sprzyja?  
Zabija!

Czy lubi? nie lubi?..  
Bezwiednie cię zgubi,



Bez myśli zgruchota --  
Niecnota!

Bo śliczna, bo cudna,  
Bo wdzięczna, bo złudna,  
W pierś rzuca zarzewie —  
Choć nie wie.

Wesoła — a tkliwa,  
Marząca — a żywa,  
A wzrok ma uroczy —  
Ach! oczy!

Promienne jak zorze,  
Głębokie jak morze,  
A tęskne... jak pienia —  
Wspomnienia.

Jój główka jak święta,  
W krąg blasków ujęta,  
A włoski, a szyjka —  
Ach! żmijka!

Gdy wdzięcznie szczebiocze,  
Takie to urocze,  
    Że wieczność z nią całą  
    Być — mało.

Milutka pieszczotka,  
To drapie jak kotka,  
    To oczkiem nagrodzi —  
    A zwodzi!

Gdy śmieszkiem zczaruje,  
Gdy lezką cię struje,  
    O któż ci pomoże —  
    Nieboże!

Więc lecą ofiary,  
I młody i stary,  
    Bo któż się obroni  
    Jéj broni.

Miěj litość, dziewczyno!  
Gdy wszyscy wyginą,  
    Cóż ci się zostanie —  
    Tyranie!

Wł. L. Anszyc.

## DO KOBIÉTY.

Czy wiesz, ty piękna i ty uśmiechniona,  
Którój usteczka rozchyła pustota,  
Co znaczy: „kocham“ to najświętsze  
[słowo,  
Co pada z piersi, jako strzała złota —  
I, jak królewskiej purpury zasłona...  
Oddziela ciebie, wzruszeniem różową  
I drżącą snami szczęścia dziewczemii,  
Od wszystkich ludzi na całej téj ziemi,  
Byś otworzyła jednemu ramiona?

Czy wiesz ty o tém, motylu i kwiecie,  
Poranków wiosny ty śpiewna ptaszyno;  
Że ta godzina, w której usta twoje  
Szepeją to słowo, jest cudów godziną?  
Że wtedy jasno robi się na świecie,  
Że srebrem biją wszystkie żywe zdroje!  
Że róże w pękach płoną się wiosenne,  
Że dziwne mary rozwiewne i senne  
Ciałem się stają pod drżącą twą

[dłtonią?

Że w twój źrenicy, jako w pryzmie  
[słońce —  
Życie odbija blasków swych tysiące,  
I załamuje promień brylantowy?..  
Że noc koronę srebrną swojej głowy  
U stóp twych w chłodnych rozsypuje  
[rosach?  
Że twém wzruszeniem drżą gwiazdy  
[w niebiosach?

Czy wiesz ty o tém, że słowo to ciebie  
Czyni kapłanką przeczystych ołtarzy?  
Że to uczucie, co łuny dziewicze  
Rzuca na białość liliową twój twarzy,  
I dyamentową skrą w oku wybłyska,  
Nietylko szczęściem jest, lecz złotą wagą,  
Co byt wszechświata utrzymuje w ruchu;  
Pierwszém zarzewiem wielkiego ogniska,  
Co świat ogarnia blaskami swojemi,  
Pierwszém ogniwem w stworzenia łań-  
[cuchu?  
Czy wiesz, że kiedy zmierzchy taje-  
[mnieze

Wydały kształty młodzieńcze téj ziemi,  
Co stała jeszcze wśród chaosu nagą;  
Najpierwszém słowem, jakie Bóg na  
[niebie  
Rzekł do niéj, było słowo: „kocham  
[ciebie!“

Posłuchaj! „kocham“ to nie znaczy  
[wcale:  
„Chcę być pieszczoną w twym domu  
[królową;  
Chcę iść przez życie drogą kwieciem  
[słaną —  
Chcę w pocałunków twoich tonąć szale,  
Chcę, by mi słonko świeciło co rano;  
Chcę, by co wieczór lampę dyamen-  
[tową  
Srebrzysty księżyc palił mi nad głową;  
Chcę, byś dzień cały mojego szczebiotu  
Słuchał i zawsze witał mię uśmie-  
[chem,  
Chcę, byś mi pieśni śpiewał wraz z sło-  
[wikiem;

Chcę żyć z twój pracy i z twojego potu ;  
Chcę, byś był moim cieniem, mojem  
[echem,  
Odpowiedzialnym za mnie niewolnikiem.

Nie ! „kocham ciebie !“ to znaczy : chcę  
[z tobą  
Podźwignąć ciężar, co się życiem zowie,  
Być domu twego światłem i ozdobą,  
I nieść ci pokój, i ciszę, i zdrowie.  
„Kocham“ to znaczy : twoje ideały  
I twoje cele są także mojemi ;  
Pracujmy razem, by rozświt dnia biały  
Prędzej rozbłysnął na ziemi !  
Chcę, by mą drogą była twoja droga,  
Mojem pragnieniem były twe pragnienia ;  
Chcę, byś był głosem mojego sumienia,  
I wiódł mnie z sobą do Boga.

Chcę, byśmy lecąc w uścisku wza-  
[jemnym,  
Jako dwa duchy, w dziedzinę wieczności,  
Rozpromienili na świecie tym ciemnym  
Gwiazdziste szlaki przyszłości.

Chcę przez twą wiedzę mój umysł  
[rozszerzyć,  
I słowo twoje chować jak przysięgę,  
Chcę z tobą marzyć, i tęsknić, i wierzyć  
W ducha niezłomną potęgę.

„Kocham“ to znaczy: chcę z tobą po-  
[dzielić  
Gorzki chleb trudu, i łez, i boleści:  
Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić  
I tarczą twojej być cześci.

Chcę na twych piersiach być jak róża biała,  
W której płomyczek tajemniczy pała,  
I chcę być jako pieczęć rubinowa  
Na ustach twoich bez słowa.

„Kocham“ to znaczy: chcę w cichym  
[zakątku  
Życie zapomniana, byleś ty był ze mną...  
Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku  
Nucić piosenki w noc ciemną.

„Kocham cię“ znaczy: o wolny ty duchu!  
Ja nie chcę skrzydeł twych krępować  
[jasnych,

Przykuwać cię do trosk nędznych,  
[ciasnych,

Ciebie, coś przywykł na myśli po-  
[dmuchu

Wzłatać, jak orzeł po najwyższych  
[szczytach

I gniazdo zwijać w błękitach.

Ja nie chcę ciężyć tobie, jak kajdany:

Wiązać cię z ziemią żelaznym łań-  
[cuchem;

Chcę tylko, byś mnie uznał, ukochany,

Bratnim, pokrewnym ci duchem.

„Kocham“ to znaczy: ja chcę być dla  
[ciebie

Prawdy, i dobra, i piękna zaklęciem,

Umiłowaniem twój duszy dziecięciem,

Twojém marzeniem o niebie.

Chcę domu twego być białym powojem,

Twojemu czołu od skwaru ochroną;

Chcę być twą myślą i ramieniem twojém,

I przyjacielem i żoną.

Jeśli w twych piersiach, kobyto, nie bije  
Serce do takiej podniosłej miłości,



Nie mów ty: kocham! nikomu na ziemi  
Bo ten, co z tobą połączy... swą dołę,  
Patrząc na ciebie oczyma smutnemi,  
Nigdy nie powie, że żyje,  
I duchem wrosłszy w poziomą nie-  
[wolę,  
Nie zrobi nic dla przyszłości.

*Marya Konopnicka.*





## SPIS RZECZY.

|  | str. |
|--|------|
| Dziwożona, podanie karpackie — Miron                             | 5    |
| Laokoon — Lenartowicz . . . . .                                  | 7    |
| Dziady, wyjątek — Mickiewicz . . . . .                           | 20   |
| Julian Apostata — Asnyk . . . . .                                | 22   |
| Farys -Wieszcz — Karol Baliński . . . . .                        | 27   |
| Improwizacya — Mickiewicz . . . . .                              | 36   |
| Zapał — Włodzimierz Wolski . . . . .                             | 42   |
| Marsz pogrzebowy — Kornel Ujejski                                | 43   |
| Finale — Kornel Ujejski . . . . .                                | 51   |
| Beniowski, wyjątek — Juliusz Słowacki . . . . .                  | 55   |
| Podróż do ziemi świętej, wyjątek —<br>Juliusz Słowacki . . . . . | 57   |
| Sam na sam — Asnyk . . . . .                                     | 60   |

|   | str. |
|---|------|
| Bajazzo — J. N. Kamiński . . . . .                        | 63   |
| Powitanie — J. N. Jaśkowski . . . . .                     | 71   |
| Chłopiec z Bruku — Wacław Szy-<br>manowski . . . . .      | 75   |
| Sobotni wieczór — Marya Konopnicka                        | 82   |
| I nie ustrzegła — Maryan Gawalewicz                       | 85   |
| Fragment — Miron . . . . .                                | 98   |
| Ślub, ballada studencka — Michał<br>Bałucki . . . . .     | 100  |
| Legenda pierwszej miłości — Asnyk                         | 105  |
| Intermezzo — Czesław . . . . .                            | 111  |
| Wyznanie — Michał Bałucki . . . . .                       | 116  |
| Bajka, wyjątek — Juliusz Słowacki                         | 118  |
| Jagoda — Lenartowicz . . . . .                            | 123  |
| Na zgon poezyi — Asnyk . . . . .                          | 132  |
| Ułamek z Głosy św. Teresy — Zygm.<br>Kraśniński . . . . . | 137  |
| Sclavus Saltans — Marya Konopnicka                        | 145  |
| Graf Gero — Mieczysław Romanowski                         | 148  |
| Drapieżne ptaszę — Wł. L. Anczyc                          | 162  |
| Do kobiety — Marya Konopnicka .                           | 165  |

## SPIS AUTORÓW.

- |                             |                          |
|-----------------------------|--------------------------|
| Anczyc 162.                 | Krasiński 137.           |
| Asnyk 22, 60, 105,<br>132.  | Lenartowicz 7, 123.      |
| Baliński 27.                | Mickiewicz 20, 36.       |
| Bałucki 100, 116.           | Miron 5, 98.             |
| Czesław 111.                | Romanowski 148.          |
| Gawalewicz 85.              | Słowacki 55, 57,<br>118. |
| Jaśkowski 71.               | Szymanowski 75.          |
| Kamiński 63.                | Ujejski 43, 51.          |
| Konopnicka 82, 145,<br>165. | Wolski 42.               |





**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-230 Warszawa

**Tel 26-68-63, 26-52-31 w. 42**

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>



<http://reim.org/>



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

F  
2006  
7